Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. **30** groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 23 października 1938 r.* Nr. 44

W dzień zaduszny



W chaosie zapracowanych dni, w wiecznym dążeniu do zaspokojenia głodu, zbliża się wolno, kroki ściszając bardziej — Dzień Zaduszny.

Dzień Zaduszny... Jedyny wśród całego roku, inny niż inne dni — poważniejszy, zadumany, głoszący Memento, które jak oślepiająca błyskawica wstrząsa i nawraca ludzi, co utracili wiarę; przypomina Prawdę tym, co się od niej zbytnio oddalili, albo o niej zapomnieli.

A. Szloch.

ADAM CZEKALSKI

6)

Hollywood

POWIEŚĆ

— Miss de Rieth — odezwał się młody malarz — przynoszę pocztę.

Kaja ocknęła się.

— Ach, to pan, mister Tear! Cóż nowego w dzisiejszej poczcie?

— Nic szczególnie ciekawego. Ale jeśli pani zechce mnie wysłuchać, zrelacjonuję pokrótce poszczególne listy.

— Proszę, niech pan siada i mówi.

Tear usiadł na wskazanym krześle i rozpoczął swoją informację.

— Jest list od miss Cecile House Matschat. Donosi w nim, że z braku czasu nie mogła pani odwiedzić przed odjazdem...

— Jakto, więc miss Cecylia wyjechała?

— Tak, pani, wyjechała do Kongo w Afryce, gdzie podobno mają się znajdować ciekawe okazy orchidei, których ona nie posiada jeszcze dotąd w swoich zbiorach.

Kaja poruszyła się nerwowo.

— Jaka szkoda! Miałam tak wielką prośbę do miss Cecylii!...

— Możemy ją załatwić telegraficznie. Za dwie godziny telegram znajdzie się na statku, którym miss Cecylia odpłynęła z Nowego Jorku.

Kaja westchnęła i przymknęła lekko oczy. Potem odrzekła, że namyśli się jeszcze nad tym projektem. Ale odpowiedź ta była tylko pozorem, gdyż w Kai dawno już ugruntowało się postanowienie zadepeszowania do Cecylii, tylko chwilowo nie chciała jeszcze zdradzić się z tym swojemu sekretarzowi.

Tymczasem pan Tear informował dalej:

— Ma pani kilka listów z Belgii. Tych nie otwierałem. Poza tym kilkanaście próśb o autografy, kilka propozycyj najrozmaitszych fakirów i „profesorów czarnej magii", wreszcie list z Kongo w Afryce.

Kaja ożywiła się natychmiast.

— Proszę mi dać ten list, mister Tear. Czy pan go czytał?

— Nie, pani. Listów z Kongo zabroniła mi pani otwierać.

— To dobrze, to dobrze, proszę mi go dać zaraz.

Sekretarz powstał i skłoniwszy się, odszedł. Kaja została sama, ale nie od razu zabrała się do czytania listu od męża. Był to dopiero pierwszy jego list od chwili, gdy po dramatycznej rozmowie rozstali się w domu jej rodziców w Brukseli. Co też on teraz pisze? Pewnie, że miał powód do gniewu, pewnie, że nie obejdzie się w nim bez wymówek... Ale woli już te jego wymówki, choćby nawet najsurowsze, byle tylko pisał, byle tylko zechciał pisać...

Z listem w ręku powstała z bujaka i zaczęła chodzić szybko po pokoju, rozmyślając nad tym, co też może zawierać list od męża, pierwszy od tak dawna list od Roberta? Nic łatwiejszego jak rozerwać kopertę i przeczytać go, ale Kaja nie chciała tego zrobić. Pragnęła jak najdłużej żyć złudzeniem, dociekaniem tajemnicy i prawdy... Może ta prawda jest zbyt bolesna? Może rzeczywistość jest bardzo niemiła?

— Ach, niech będzie co chce — przeczytam! — zawołała w końcu i stanąwszy na środku pokoju, rozerwała kopertę i rzuciła szybko okiem na wiersze drobnego pisma mężowskiego.

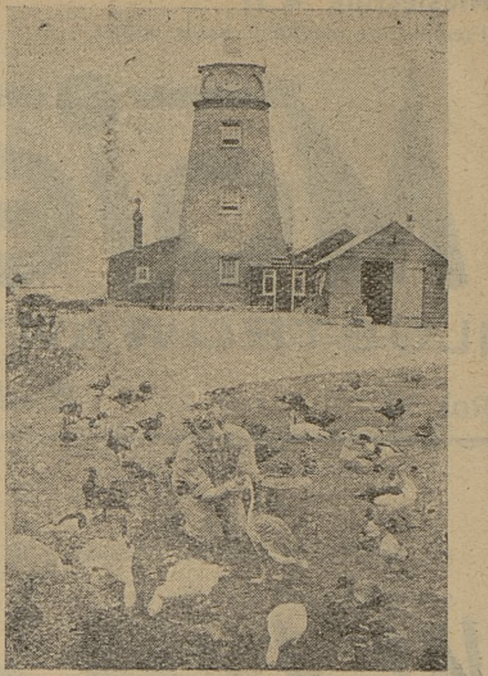
Lecz i teraz jeszcze zdawała się wahać, jakby obawiała się czytać, albo też, jakby chciała ostateczną chwilę czytania odroczyć o kilka dalszych choćby tylko minut.

— To nie ma sensu — zdecydowała wreszcie i zaczęła czytać pilnie i uważnie, a w miarę pochłaniania treści listu, twarz jej płonęła, oczy nabierały żywego, gorączkowego blasku, dech zaparła w piersi i w takim stanie odczytała list do końca, a potem, powiódłszy dłonią po oczach, westchnęła głęboko.

Była uradowana, tak bardzo uradowana, jak nigdy dotąd nie była od chwili odjazdu z domu. Oto Robert donosił jej, że z powodu bardzo wielkiego nawału pracy nie pisał dotąd do niej, co sobie ma za złe, ale że zbierał się z miesiąca na miesiąc do wyjazdu do Stanów, przypuszczał, że prędzej na własne oczy będzie mógł Kaję zobaczyć, tedy sobie przyjemność powitania i pozdrowienia odkładał. Teraz jednak, gdy już za miesiąc wsiądzie na statek, płynący do Stanów, pragnie ją uprzedzić o swojej wizycie.

To było wszystko, cała treść obszernego listu. Ani słowa żalu, ani słowa wymówki lub niezadowolenia. Poznawała z tego listu Roberta doskonale. Zawsze ten sam: kochający, dobry, uprzedzająco grzeczny, gotów wszystko uczynić dla szczęścia małżonki.

I znowu w oczach Kai pokazały się łzy, ale teraz były to łzy ogromnej radości, że oto niedługo już zobaczy znowu męża, że znowu będą razem, jak niegdyś, jak jeszcze tak niedawno.



Syn słynnego badacza polarnego, Scott, w celu badania życia ptaków morskich, zamieszkał w samotnej latarni morskiej.

Przeczytała też i listy z Belgii: od rodziców, od przyjaciół, a wszystkie one, jakby się ich autorzy zmówili, były ciepłe, miłe i nie zawierały w sobie nic z tego, co by jej przykrość sprawić mogło.

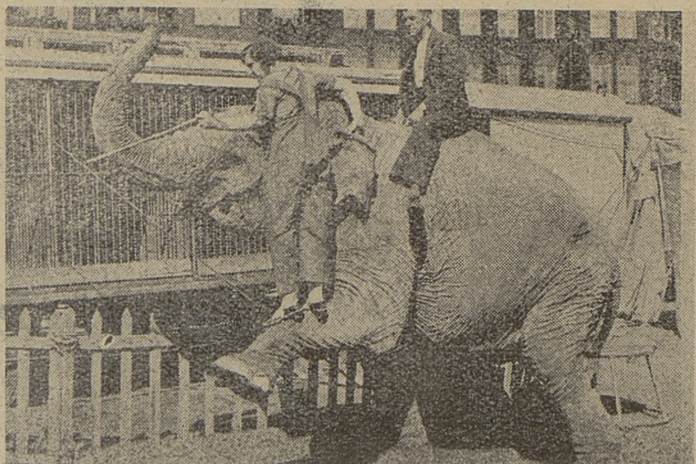
Wiadomości te na długo rozweseliły Kaję. Nie była już smutna, nie chodziła zadumana i zamyślona i trema przy końcowych scenach filmu o wiele była u niej mniejsza. Czuła się teraz swobodna, jak ptak, beztroska i zupełnie inna. Wszystko, co przykre było w przeszłości, zostało zapomniane. Robert przyjeżdżał! Oto była wiadomość naprawdę wielka i doniosła dla niej.

Film z Kają był prawie skończony. Teraz odbywały się już prace laboratoryjne i przygotowywanie filmu do puszczenia na ekran.

„Śpiewam dla ciebie" — taki tytuł nosił ten obraz, który za kilka tygodni znaleźć się miał na ekranach amerykańskich. Kosztował wiele, bardzo nawet wiele. Toteż, aby wyciągnąć koszta w film ten włożone, trzeba było znaleźć 25 milionów ludzi, którzy zgodzili się zapłacić po zł 1.20 za bilet do kina, aby pokryć koszta tego pierwszorzędnego filmu i dać pewien niewielki zysk producentowi, gdyż dopiero 5 milionów dolarów osiągniętych brutto przez teatry kinematograficzne, mogły pokryć koszt produkcji obrazu „Śpiewam dla ciebie".

Czy znajdzie się taka armia ludzi?

Trzeba było ją poszukać. I wytwórnia „Blackbee-Film" postanowiła taką armię znaleźć. Puszczono znowu w ruch wszelkie najpomysłowsze „tricki" reklamy. Biuro propagandy nie miało chwili wytchnienia. Miliony fotosów z nową gwiazdą wytwórni „Blackbee-Film" zalały całe Stany. Twarz i cała postać Kai nie schodziła przez wiele tygodni z łamów wszystkich dzienników i wszystkich czasopism amerykańskich i różnojęzycznych całej Ameryki Północnej. Wszystkie kolory świateł wykrzykiwały co wieczór i co noc jej imię, wszystkie rozgłośnie amerykańskie ogłaszały „urbi et orbi" sławę „fenomenalnej" aktorki. „Śpiewam dla ciebie" w tych reklamach przemienił się w tak doniosłe wydarzenie na przestrzeni wszystkich czasów, jakby od zo-



Za kulisami areny cyrkowej odbywają się próby do występu.

baczenia na własne oczy tego filmu zależało niemal zbawienie świata. „Ballyhoo" rozhuczało się na wszystkie strony. Nie było miejsca nawet w najzaciszniejszym zakątku, gdzie nie można by było spotkać imienia Kai i tytułu filmu, w którym ona występuje po raz pierwszy.

Kaja świadoma była tego wszystkiego, ale już nie protestowała, jak za pierwszym razem. Zresztą, nie na wiele przydałoby się to teraz. Przecież i tak jej protest nie byłby odniósł najmniejszego skutku. Wytwórnia włożyła w ten „interes" pięć milionów dolarów i musiała je wyciągnąć z wolą lub wbrew woli miss de Rieth. Chyba... chyba, że Kaja podjęłaby się była zwrócić tę sumę, a to przecież było zgoła niemożliwe.

Dlatego musiała zgodzić się na to wszystko, cokolwiek pomysłowy mister Quince wymyślał ku powiększeniu jej sławy. A pomysły jego z dnia na dzień stawały się coraz ciekawsze. Oto pewnego dnia doszła go poufna wiadomość, że grono miejscowych snobów zamierza urządzić bal... w windzie. Skomunikował się natychmiast z inicjatorami tego pomysłu, omówił następnego dnia szczegóły i natychmiast przybiegł do Kai.

— Miss de Rieth! — zawołał. — Zwyciężamy! Czy pani nie odczuwa tego, że sława jej wzrasta?

— Owszem, mister Quince, zaczynam to odczuwać — odrzekła spokojnie i nawet z uśmiechem Kaja. — Zamiast kilkudziesięciu, otrzymuje teraz kilkaset listów dziennie.

— Świetnie! I przypuszczam, że pani nie będzie na mnie tak gniewna, jak to miało miejsce w swoim czasie, ale propozycję, jaką jej przedłożę, przyjmie pani bez wahania?

— Słucham pana, mister Quince, o cóż chodzi?

— Pewne towarzystwo miejscowe urządza bal w windzie. Tego jeszcze tutaj nie było. Będzie to wspaniała reklama, gdy pani w tym balu weźmie udział.

Kaja nie zdziwiła się już teraz tym pomysłem. Był on typowo amerykański, właściwy dla pewnych sfer, które z nadmiaru posiadania dóbr doczesnych i braku jakiejkolwiek uczciwej pracy, wysilały się na najnieprawdopodobniejsze szaleństwa.

— Dobrze, mister Quince — odrzekła miss de Rieth — jestem gotowa wziąć udział w tym balu.

I w kilka dni później bal ten odbył się. W jednym z miejscowych hoteli wynajęto windę, kursującą między pierwszym i którymś tam piętrem, którą na kilka godzin nocnych zamieniono na „salę balową". Organizatorzy tego wieczoru słusznie zapewne rozumowali, że skoro już wiele aktów prawno-cywilnych w tym kraju odbyło się w windzie, jak np. śluby, chrzciny itp., to czemuż by nie urządzić w niej także balu karnawałowego!

Oryginalny ten pomysł, urzeczywistniony nie bez udziału dyrekcji hotelu, miał z punktu widzenia handlowego tę dodatnią stronę, że ściągnął do hotelu kilka tysięcy gości, żądnych niecodziennego bądź co bądź widoku par tańczących w windzie. Ciekawych spotkał jednak zawód, gdyż regulamin balu przewidywał, że tańce w windzie odbywały się w przejeździe między dziesięciu piętrami. Na każdym dziesiątym piętrze winda zatrzymywała się, pod windę podjeżdżał bufet ruchomy, zaopatrzony w najbardziej wyszukane coctaile i zakąski, i zmęczone tańcem pary mogły odświeżyć swe siły. Widzowie natomiast mogli podziwiać wspaniałe toalety tańczących pań, co również miało swój punkt handlowy, toalety te były bowiem ostatnimi modelami jednego z największych tutejszych magazynów mód, który niewątpliwie musiał mieć swój udział w aranżowaniu tej całej imprezy.

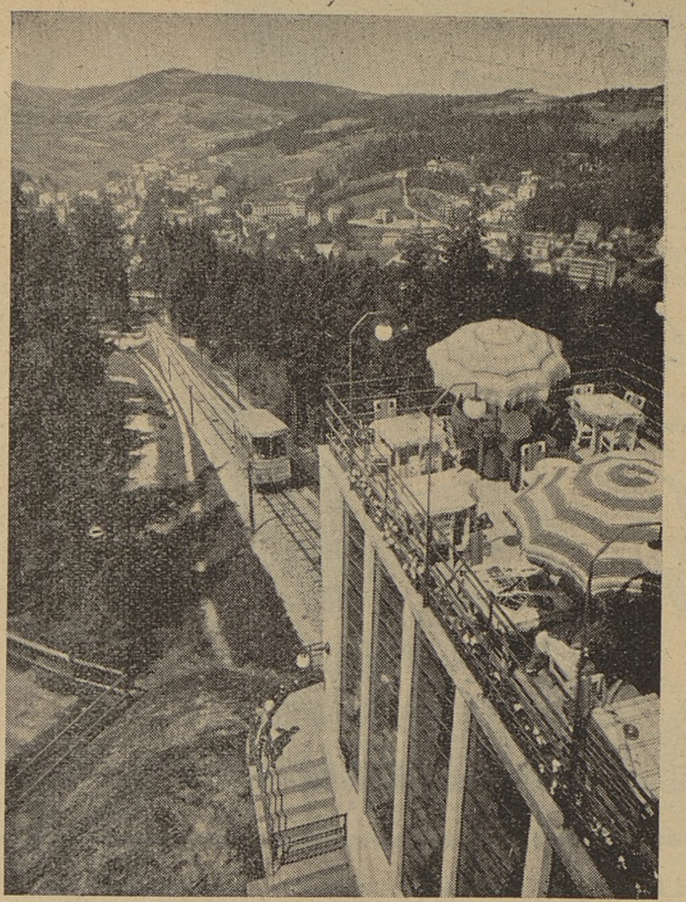
Kaja, kiedy znalazła się wśród najlepszego towarzystwa miejscowego, na początku czuła się bardzo onieśmielona i jakby zawstydzona. Ten bal w windzie nie godził się jakoś z jej europejskim smakiem, którego nie zdołała jeszcze pozbyć się tutaj zupełnie.

Ale niebawem poznała większość z tego towarzystwa, a znalazłszy adoratora w osobie młodego i dostatecznie już zblazowanego Slima O'Conora, człowieka niesłychanie bogatego i dość sympatycznego, wnet poczuła się i tutaj swobodnie i dobrze.

Kiedy zaś dowiedziano się, że jest ona nie kim innym, jak tylko tak szumnie i z takim krzykiem reklamowaną nową gwiazdą „Blackbee-Filmu", sztywne miny pań balowych złagodniały nieco, a panowie z wielkim aplauzem powitali ją wśród siebie. Lecz mister O'Conor czuwał nad tym, aby nikt z intruzów nie zbliżał się za bardzo do kobiety, którą on sobie upodobał. Nie odstępował jej też przez cały wieczór, zabawiał ją opowiadaniami na rozmaite tematy, czerpiąc natchnienie do nich



Marynarka angielska w czasie ćwiczeń obrony przeciwlotniczej



Jednym z najpiękniejszych uzdrowisk polskich jest Krynica. Oto widok na dworzec i taras kolejki górskiej.

zapewne z własnych bardzo licznych przeżyć, po balu zaś zaofiarował się odwieźć ją własnym wozem do domu.

Kaja widziała te umizgi mister Slima, ale nie przeszkadzała im wcale, gdyż nie brała ich poważnie, a poza tym, bawiły ją one bardzo. Śmiała się zatem, z wszelkich starań minister O'Conora i nieodmiennie odpowiadała na wszelkie jego propozycje.

— Nic z tego nie będzie, mister O'Conor. Jestem mężatką i męża mojego bardzo kocham.

— Pschaw! — zawołał prawie zirytowany w pewnej chwili mister Slim. — Czyż to jedna aktorka w Hollywood wychodziła za mąż i rozwodziła się następnie!

— Możliwe, ale ja nie mam żadnego zamiaru rozwodzić się.

— Czemu? Czy pani hołduje jednożeństwu?

— Owszem, mister O'Conor. Katolicy nie uznają swobody zawierania małżeństwa i rozchodzenia się następnie z byle błahej przyczyny.

— A to mi nowinę pani powiada! Cóż jednak ma do gadania katolicyzm? Wyznanie wiary obywateli w naszym kraju ma najpodrzędniejsze znaczenie. Przecież w personaliach gwiazd filmowych nawet ta rubryka nie istnieje.

— To dla mnie nie jest ważne. Nie wtedy się bowiem jest katolikiem, kiedy prawo nam nakazuje, ale wtedy, kiedy w sumieniu naszym czujemy się katolikiem. A ja właśnie w moim sumieniu czuję się katoliczką i od zasad mej wiary odstąpić nie mogę. Poza tym, mister O'Conor, Kościół katolicki nie zna rozwodów i nie udziela ich.

— Bah! Jeżeli to jedno stanowi tylko przeszkodę, to za trzy tygodnie zniknie ten koszmar sprzed oczu pani. Pojedziemy do Roneo i tam w ciągu kilkunastu dni udzielą nam rozwodu...

— Jakto — nam? Czyżbyś pan zamierzał się rozwodzić?

— Ja nie, bom nie żonaty, a jeśli mówię nam, to mam jedynie panią na myśli.

— Powiedziałam już panu, że ja rozwodu nie chcę.

— Dlaczego?

— Bo kocham mojego męża.

— Nie wierzę.

— Trudno, nie mam innego argumentu na przekonanie pana.

— A jeśli i ja panią kocham?

Kaja roześmiała się bardzo wesoło.

— Czemu się pani śmieje?

— Bo miłość ta nagła jest tak do pana niepodobna, iż ja w nią uwierzyć nie mogę.

— A jednak to prawda.

— Prawda pod wpływem zbyt licznych coctailów.

— Nie, nie jestem przecież bynajmniej pijany. Pani rzuciła na mnie urok, jeśli wolno się tak wyrazić. Podbiła mnie pani, oczarowała i dzisiaj jestem gotów wszystko uczynić, aby tylko panią posiąść.

— „Nie pożądaj żony bliźniego twego".

— Żona bliźniego mojego może przecież zostać z kolei i moją żoną.

— Jeśli chodzi o protestantów, tak. Ale ja jestem katoliczką. Powiedziałam to już panu.

— Obok tego jest pani także i to na pierwszym miejscu człowiekiem.

— To się samo przez się rozumie, ale nie zmienia postaci rzeczy.

— Owszem, zmienia. Każdy człowiek na tym nędznym świecie powinien dbać o to, aby osiągnąć możliwie największą dozę zadowolenia i szczęścia własnego. Żadne względy uboczne nie powinny go od dążenia tego powstrzymywać.

— Otóż to! Ja właśnie jestem zadowolona z mojego dotychczasowego małżeństwa i w nim jestem szczęśliwa. Dlatego nie mam zamiaru zmieniać dozgonnego towarzysza życia.

— Ależ pani go tu nie posiada, jest samotna!

— Nie mam czasu myśleć o mojej samotności, gdyż jestem bardzo zapracowana. Zaledwie ukończyłam pierwszy mój film, już niebawem mam zabrać się do następnego. Ta praca wypełni mi wszystkie dni.

— Ha, poczekam. Nadejdzie taki czas, że przypomnę pani dzisiejsze jej słowa. Wtedy sama odwoła pani zasady dzisiaj głoszone.

— Nie! Człowiek z charakterem zasad swoich nie odwołuje nigdy.

— Zobaczymy.

— Zobaczymy.

I tego wieczoru nie rozmawiali już więcej na ten temat. Po balu mister Slim O'Conor odwiózł Kaję własnym wozem do jej willi, a żegnając ją, zapytał, czy wolno mu będzie odwiedzić ją kiedykolwiek.

— Chętnie pana będę widziała u siebie — odrzekła miss de Rieth — choćby tylko w celu podyskutowania i przekonania go o błędności jego założeń.

— Dobrze, pozwolę sobie złożyć pani wizytę.

Na drugi dzień Kaja już zapomniała o ekscentrycznym Slimie, nie przywiązując wielkiej wagi do jego wyznania na balu w windzie. Spotkała go zaś dopiero w parę tygodni później na premierze swojego pierwszego filmu.

Przygotowania wytwórni do wyświetlenia tego filmu w setkach i dziesiątkach setek kinoteatrów amerykańskich przypominały obstrzał artyleryjski przed atakiem piechoty. Jakiż teraz będzie rezultat tego ataku? Jaki skutek bombardowania kieszeni milionów ludzi? Nikt tego przewidzieć nie mógł. Film był dobry, zaliczał się nawet do t. zw. „super-filmów" z kategorii „AA". Był to więc film, według specyfikacji Hollywood, zaliczony do artystycznych.

Kategorie bowiem następne, a więc „B" „C" i „D" kosztują czasem zaledwie 10 procent drogich obrazów. Dzieje się to dlatego, bo przy filmach pierwszorzędnych przeciętny dyrektor pobiera tylko... 50 tysięcy dolarów od filmu. Jego zastępca do 10 tys. Dekoracje, inscenizacja i w ogóle wszystko, co dotyczy tła, na którym rozwija się akcja, kosztuje przeciętnie 120 tys. dol. od obrazu. Koszty zaś dodatkowe kostiumów, charakteryzacji, światła — razem 250 tys. dol. Materiał techniczny t.j. zdjęcia z opłatą personelu — 70 tys. dol. Muzyka — 50 tys., wreszcie najrozmaitsze koszty natury ogólnej, których przy tych filmach jest bardzo dużo, wynoszą razem około 200 tys. dol. A do tego przecież dochodzi: scenariusz do 50 tys., przeróbki scenariusza do 50 tys. Dalej idą pensje „gwiazd" — do 150 tys. „Gwiazdom" trzeba dać odpowiednich partnerów, przynajmniej do głównych ról. To kosztuje łącznie drugie 150 tys. Zupełnie podrzędne role, t. zw. ekstra, kosztują przeciętnie 15 tysięcy dolarów.

Filmy dzisiejszej kategorii kosztują znacznie mniej dlatego, bo oszczędzają przede wszystkim na pensjach „gwiazd" i dyrektorów, na honorariach autorskich, no i na kosztach ogólnych. Na wszystkie te rzeczy idzie jakaś jedna czwarta tego, co kosztuje film „AA". Użycie kostiumów i dekoracyj z innych filmów znacznie zmniejsza ilość „ekstra" artystów, no i zdjęć poszczególnych scen, które w obrazach kategorii „A" nagrywane są wielokrotnie przy różnych oświetleniach i efektach dźwięko-

wych — wszystko to pozwala na osiągnięcie znacznych oszczędności i nie wpływa ujemnie na wartość artystyczną obrazu.

Największe oszczędności osiąga się przez wyeliminowanie t. zw. „ukrytych kosztów". Powstają one wtedy, gdy się np. zaangażuje do pewnego filmu dyrektora, który w rzeczywistości bierze tylko pensję, a nie kręci filmu, albo którego się usunie od pracy po dwóch tygodniach zdjęć. Niektóre „gwiazdy" są płatne przez cały czas bez względu na to, czy grają lub nie. To samo dotyczy niektórych autorów scenariuszy. Często nabywa się prawa pewnych utworów literackich, które nie są przeniesione na ekran. Ameryka przyzwyczajona do wydawania milionowych sum na produkcję filmową, gdzie wszystkie kalkulacje zaczynają się od setek tysięcy dolarów, nie liczy się z kosztami. Nie liczył się też z kosztami i „Blackbee-Film", ale skoro już zdecydował się rzucić na Kaję de Rieth milion, szczodrze dodał do tego drugi, aby tylko „Śpiewam dla ciebie" wyszedł okazale.

I oto nareszcie ma się odbyć premiera tego, tak długo i z takim wrzaskiem reklamowanego filmu.

Kaja wchodziła na stopnie kinoteatru z mocnym postanowieniem niedenerwowania się, zachowania całkowitego spokoju, choćby film wyszedł nawet słabo, a jej gra była beznadziejna, ale mimo to czuła wyraźnie, jak serce biło jej gwałtownie, a za kolana chwytał dreszcz.

W ogromnym hallu zastała już mnóstwo gości, wśród których pierwszoplanowe „gwiazdy" wiodły prym, odcinając się wyraźnie od reszty „pospolitych" ludzi. Pusta przestrzeń między „gwiazdami" a pozostałymi gośćmi świadczyła, że przedstawiciele ekranu nie chcą „pospolitować" się z laikami.

W pierwszej chwili Kaja przystanęła na miejscu, nie wiedząc, do której grupy się przyłączyć, ale niebawem zjawił się dyrektor kinoteatru i powitawszy ją, prosił o „uwiecznienie" swojej stopy w płynnym cemencie.

Miss de Rieth nie pojęła od razu intencji „prezydenta". Dlatego spytała niewyraźnie:

— „Uwiecznić"... moją stopę? Nie rozumiem, co pan przez to chce powiedzieć.

— Zechce pani pójść ze mną, a pokażę o co chodzi.

Kaja poszła, jak ją o to proszono. I po chwili zobaczyła skrzyneczkę z płynnym cementem, dokoła której stała grupa mężczyzn i kobiet.

— Zwyczajem naszego kinoteatru jest od dawna — objaśniał tymczasem mister prezydent — że wszystkie gwiazdy ekranu, z którymi premiery filmowe odbywają się w naszym lokalu, uwieczniają swoje stopy w płynnym cemencie. Cement ten następnie zaschnie i stopa pani, miss de Rieth, pozostanie na zawsze utrwalona. Później zdobić będzie moje skromne muzeum, jakie w tym celu założyłem.

Kaja zrozumiała nareszcie o co chodzi. Bez dalszych sprzeciwów postawiła nogę w cemencie i nacisnęła. W skrzynce został odcisk jej nogi dla powiększenia muzeum mister prezydenta.

Owe odciski nóg sławnych „gwiazd" były nowością w całej Ameryce i jako nowość cieszyły się dużym powodzeniem, jak wszystko w tym dziwnym kraju, gdzie pogoń za wszelkiego rodzaju rekordami, choćby najgłupszymi i wszelka ekscentryczność zdobywała bardzo szybko prawo obywatelstwa i przyjmowana była przez naiwnych ludzi szumnymi aplauzami.

Pożegnawszy wymownego „prezydenta", miss de Rieth znalazła się znowu w głównym hallu, zastanawiając się nad tym, do której grupy ludzkiej podejść. „Gwiazdy" — jak jej się wydawało — patrzyły na nią z pewną zawiścią i jakby sarkazmem. Poznawała wśród nich licznych znajomych, ale żaden z nich nie kwapił się ku niej i nie zdradzał najmniejszej chęci przyjścia jej z pomocą. Dopiero po chwili z grona mężczyzn wysunął się młody, elegancki mężczyzna i szybkim krokiem zbliżył do Kai.

— Dobry wieczór miss de Rieth, czy pani mnie nie poznaje? — powitał ją mister Slim O'Conor.

— Ach, to pan! Dobry wieczór!

— Czy pani uwieczniła już swoją stopę w płynnym cemencie?

— Właśnie stamtąd wracam.

— Jest pani sama?

— W towarzystwie mojego sekretarza, pana Tear'a.

U wrót cmentarnych...

Smętek się rozsiadł u wrót cmentarnych,
Okryty czarną, żałobną opończą.
Tu kres światowych uciech — marnych
I bóle ludzkie tu się kończą...

Słuchaj! Na wieży łkają dzwony...
Skrzypnęły cicho cmentarne podwoje —
To ktoś się zbliża, życiem zmęczony,
Ktoś... komu obce już trudy i znoje...

Głucho się gruda na trumnę toczy...
Gdzieś sygnaturka kołacze,
Łzami się bliskich zalewają oczy.
Umarł: „Requiescat in pace..."

Znów się cmentarne wrota zawarły
I wszyscy żywi... do życia wrócili...
W mogile został człowiek umarły
I krzyż się nad nim pochylił...

Wszystko przemija — życie jest chwilką,
A wieczność, każdego z nas czeka.
Człowiek maleńkim pyłkiem jest tylko
A niczym — życie człowieka!...

Apolinary Żurawski.

— Czy pani przyjmie i mnie do swego towarzystwa?

— Jeśli panu to sprawi przyjemność.

— Zatem przejdźmy się nieco po hallu. Niechaj „gwiazdy" zobaczą najmodniejszą panią toaletę i pozielenieją z zazdrości.

— Zaczyna pan być złośliwy, mister O'Conor.

— Nie, pani, ja tylko wyrażam prawdę o ludzkiej menażerii. Proszę się przyjrzeć tym wszystkim gwiazdeczkom, jakimi wejrzeniami mierzą panią. Gdyby spojrzenia ich miały moc uśmiercającą, już by leżała pani w prochu na środku tego hallu.

— Mister O'Conor, wśród tych „gwiazdeczek" są również moje znajome, a znajome naszych znajomych...

— Są naszymi wrogami i dlatego należy o nich mówić rzeczy złe.

— O, protestuję! Musi pan to natychmiast odwołać.

— Ha, dobrze... Odwołuję zatem to wszystko, co powiedziałem uprzednio i oznajmiam z wysokości mojego miejsca, że nadobne lilie filmowe bynajmniej nie patrzą na panią z zawiścią, ale z największą miłością, jaką sobie tylko wystawić można. Czy pani zadowolona?

Rozległ się głos gongu i w hallu ruszono się, kierując się ku lożom, aby zająć miejsca. Niebawem zgasły światła na sali, rozległy się tony muzyki i film się rozpoczął.

Kaja siedziała milcząca, skurczona, maleńka i zapartym tchem, ale nadmiernie rozszerzonymi źrenicami patrzyła na swoją własną postać, przesuwającą się przed nią na taśmie filmowej. Doznawała wprost niepojętych wzruszeń na widok własnego cienia. Coś z nią się działo, coś takiego, czego w żaden sposób nie mogła sobie wytłumaczyć. Więc to była ona? Ta sama Kaja, która siedzi oto teraz w wygodnym fotelu i patrzy spokojnie na akcję, jaka rozgrywała się przed nią?

W sali panowała absolutna cisza, tylko gdzieś wysoko nad nimi trajkotał aparat projekcyjny, jak uprzykrzony bzyk osy koło ucha. Doskonale dostosowane melodie harmonizowały z całością i tworzyły jakąś przedziwnie piękną symfonię cieniów.

Kiedy Kaja szła drogą polną samotna, słychać było, jak szemrze zboże po obu stronach drogi, potem jej oddech przyspieszony, zmęczony, a łzy, które, zgodnie ze scenariuszem, ciekły jej wtedy z oczu, i teraz w oczach jej łzy wywoływały. Po raz wtóry przejmowała się swoją rolą, prawie w równej mierze, co dawniej.

Chwilami, gdy momenty gry były bardzo dramatyczne, odzywały się westchnienia ciche, czasem zaklaskano tu i ówdzie w dłonie, a gdy Kaja, stanąwszy w pewnym momencie przed opuszczoną chatą, gdzie urządziła sobie nocleg, rzuciła w przestrzeń tęskną piosenkę, wszyscy widzowie dech w sobie zaparli, skamienieli prawie na swoich miejscach, tak ich ta pieśń porwała i uniosła na lotnych skrzydłach cudownej melodii.

Wreszcie obraz się skończył. Jak długo to trwało? Kai wydało się, że dopiero co znalazła się w tej sali, a to już koniec. Mister Abalone podszedł do jej loży i nachyliwszy się nad nią, szepnął:

— Miss de Rieth, proszę pozwolić za mną. Trzeba ukazać się widzom.

Wstała prawie jak automat i poszła za „chief instructorem". Po chwili znalazła się na scenie w oszałamiającym potopie światła elektrycznego. Była piękna. Jej cień, który dopiero co oglądano na ekranie, ożył nagle i stanął przed olbrzymimi tłumami eleganckich widzów. I wtedy cała sala rozhuczała się jednym grzmotem długo niemilknących oklasków. Kaja kłaniała się, dziękując za uznanie.

Grzmot oklasków powtórzył się znowu, krzyki się wzmogły. Wołano ku niej ze wszystkich stron, rzucano na scenę kwiaty, czapki, nawet trzosy z pieniędzmi, a Kaja stała pośród tego wszytkiego, jak zaczarowana, nie mogąc od wrażenia jednego słowa przemówić.

„Gwiazdki" filmowe już teraz nie spoziérały na nią z zawiścią. Wiedziały dobrze, że ta „mała de Rieth" ma wielki talent sceniczny. Jej głos nie miał bodajże równego sobie. Ale chciano się jeszcze upewnić, czy ten głos nie jest tylko „double". Zaczęto się więc domagać, aby Kaja zaśpiewała jedną z tych piosenek, które przed chwilą słyszano na filmie. Miss de Rieth spojrzała pytająco na reżysera Lon-

ga, który znajdował się opodal za ekranem, aby czuwać nad nią. Long skinął głową i szepnął:

— Miss Kajo, proszę zaśpiewać.

Ogromna trema chwyciła w tej chwili Kaję za gardło. Nie mogła głosu z siebie wydobyć. Drżała jak w febrze. Ale oto oko jej spoczęło na młodym Tear'ze, stojącym opodal ekranu. Uśmiechał się do niej. Był ogromnie zadowolony z jej debiutu. Zachęcał ją wzrokiem i uśmiechem. Tear był w tym całym gronie jedynym człowiekiem, do którego miała całkowite zaufanie. I ten widok teraz dodał jej otuchy, pozbawił ją przynajmniej części tremy. A jednocześnie mister Abalone, usiadłszy do fortepianu, uderzył w klawisze. Na sali nastała cisza. Chwilę jeszcze trwały szmery, szurgania nogami, ale po chwili i to ustało. Abalone uderzył znowu w klawisze i zagrał przygrywkę. Potem urwał nagle i przeszedł na pianissimo, oczekując na piosenkę.

Kaja odchrząknęła, spojrzała jasnym wzrokiem na twarze ludzi przed nią zgrupowanych i zaśpiewała. Z początku piosenka brzmiała cicho, spokojnie, chwilami nawet głos śpiewaczki drgał, ale w miarę śpiewu głos potężniał, nabierał siły i czystości i po paru chwilach dźwięczał już najczystszym metalem, wypełniając całą salę tysiącem rozdźwonionych srebrnych dzwoneczków.

Widzowie siedzieli nieruchomo, zasłuchani w te melodie tak czyste i tak wspaniale brzmiące, jakby gromada słowików ukryła się gdzieś i zawodziła swoje trele w najrozmaitszych tonacjach.

Kaja skończyła i stała moment nieruchoma i wyczekująca, a wszystkim się wciąż jeszcze wydawało, że dalej śpiewa. Tak wielki urok rzuciła ta pieśń na słuchaczy. Dopiero gdy się spostrzeżono, że pieśń dawno skończona, jeden wielki wrzask tysiąca głosów, jeden wielki huk oklasków wrzaskliwych, obłędnych, wstrząsających murami kinoteatru rozbrzmiał na długo.

(Ciąg dalszy w nast. numerze).

MGR. WANDA KIERZKOWSKA.

Wielka przygoda panny Malinowskiej

NOWELA

(Dokończenie).

Bawiła się świetnie, zbyt dobrze prawie i w tym tkwił cały błąd. Bo kopciuszek przygarnięty z łaski, zaplątany przypadkiem na zabawę, przyćmił zupełnie blask pięknych wróżek, gasząc tym samym od jednego zamachu całą ich życzliwość. Bo przecież wszystko ma swoje granice! I nie można też wymagać od zwykłych śmiertelników, by posiadali wielkość i szlachetność nadczłowieka. A tym mniej można tego wymagać od młodych i ładnych kobiet wobec niespodziewanej rywalki na balu... Pod najsłodszym uśmiechem kryjąc urazę i zawód, zaprzysięgły wróżki kopciuszkowi walkę i krwawą zemstę. A ona nie podejrzewając niczego, bawiła się po prostu całą duszą..... Pierwszy raz w życiu... Pierwszy raz w życiu... Pierwszy raz w życiu czuła się podziwianą, rozrywaną, pożądaną. Po każdym tańcu sznur fraków dopominał się o swoją kolej. Nikt nie dawał jej do zrozumienia, że jest nudna, pedantka, staroświecka i niemodna, ale każdy podziwiał jej dowcip, jej bystre, wesołe odpowiedzi, wiedzę i szybką orientację.

— Taka ładna główka, a tak dobrze umeblowana, — powiedział „on", spoglądając na nią — doprawdy — z przyjemnością, graniczącą prawie z zachwytem.

Ładna główka, — tak powiedział i to właśnie nie do kogo innego, a do niej.... Trudno naprawdę, trudno było na razie uwierzyć w to szarej panience, na którą nikt dotąd nie zwracał uwagi.

„On" nie odstępował jej ani na krok: w tańcu przytulił do siebie i szeptał wiele czułych słów. Kiedy ktoś inny porywał ją do tańca, marszczył się gniewnie i nie ukrywał swego niezadowolenia. A gdy zdyszana i różowa, wracała do niego, mówił o swej zazdrości i bólu, jaki sprawiał mu jej widok w ramionach innego i gorącym szeptem prosił o wyznaczenie spotkania jak najprędzej, dziś wieczór, najdalej jutro. Chciałby widywać się z nią jak najczęściej, chciałby się z nią nie rozstawać wcale.

Nad ranem odwiózł ją do domu, wyrwawszy jej przemocą niemal obietnicę, że spotkają się ze sobą wieczorem gdzieś w zacisznej kawiarence, by razem spędzić wieczór.

I nie spotkali się już nigdy...

Sen o szczęściu był skończony.

Później dopiero, znacznie później, kiedy zaniepokojona przeciągającym się milczeniem, nie chcąc uwierzyć, by cała jej wielka przygoda mogła być tylko przelotnym flirtem, wybrała się, ot, niby mimochodem do swej koleżanki w odwiedziny, poznała po chłodnym przyjęciu i uszczypliwych uwagach ukrytą grę swych „dobrych" wróżek". I wtedy zrozumiała wszystko. Zrozumiała, że kopciuszkowi nie wolno nigdy przerastać wróżek, pod groźbą natychmiastowego zdegradowania. Ale zrozumiała to poniewczasie.

Po jednym, czarodziejskim wieczorze powróciły znów smutne, beznadziejne dni.. Szara maszynistka powróciła do swego uniformu. Puder, róż, jedwabie i błyszczące, jasne suknie, znikły bezpowrotnie z jej życia. Nie miała przecież czasu do stracenia, ani pieniędzy do wyrzucania. A przy tym... jak ognia bała się zdziwionych spojrzeń kolegów, natrętnych pytań i złośliwych uwag. Więc wszystko pozostało po dawnemu. Dla kogoż się zresztą miała stroić i po co? Stała się znów blada, bezbarwna i skurczona, jak róża jerychońska wyjęta z wody, jak tajemniczy kwiat paproci, rozkwitający na jedną tylko noc.

A mimo to nie traciła nadziei... Nie chciała, nie mogła uwierzyć, by wszystko było naprawdę skończone... Przecież człowiek, który jej wyznał swą miłość, który pierwszy i jedyny całował jej usta, nie mógł tak odejść bez słowa... Musi powrócić, nie dziś, — to jutro,... po roku, po dwóch, ach,... po dziesięciu czy po dwudziestu latach wreszcie.

„Wielka przygoda" jedyna przygoda jej życia rozpoczęta tak pięknie, musiała mieć swój ciąg dalszy i zakończenie. Jak w powieści. Panna Malinowska czekała na nie, jak czeka czytelnik na kolejne odcinki powieści, wychodzącej w gazecie, — niecierpliwie, lecz pewnie. i z głębokim przekonaniem, że to nastąpić musi. Bo przecie nieuczciwą rzeczą byłoby zaczynać druk powieści, nie dając jej dalszego ciągu... urywając ją w połowie, w najciekawszym miejscu.

Więc panna Malinowska czekała...

Czekała bardzo, bardzo długo...

Straciła wreszcie rachubę lat i czasu, lecz nie straciła nadziei...

Włosy jej stały się siwe, plecy przygarbione od pracy, ale serce było wciąż świeże i młode, a każdy dzwonek, każdy szmer kroków pode drzwiami, wzbudzał w nim odrazu nowe nadzieje i złudzenia.

Najmężniejsza dusza ugięłaby się wreszcie pod ciężarem tego długoletniego oczekiwania, najmocniejsza wiara uległaby w końcu zwątpieniu, ale panna Malinowska trwała nieugięcie, jak żołnierz na posterunku....

A że wiara niebiosa przebija, więc stał się wreszcie cud...

Kiedy rozległ się ostry dzwonek u drzwi wejściowych, — jakiś inny, jakiś odmienny od poprzednich, — uczuła panna Malinowska wyraźnie, że to jej godzina wybiła. Młodym, sprężystym krokiem pobiegła do drzwi, otwierając je szeroko, niby na przypitanie upragnionego gościa. Na progu stał posłaniec, trzymając oburącz ciężki kosz purpurowych róż. Pod panną Malinowską ugięły się nogi. Posłaniec zmierzył ją badawczo oczami.

— Mieszkanie numer dziesięć? — spytał krótko, z ledwo dostrzegalnym uśmieszkiem przyczajonym w kącikach warg.

Panna Malinowska skinęła głową, nie mogąc złapać tchu w zdyszane piersi. Jak przez mgłę widziała książeczkę podsuniętą jej do podpisania, automatycznie odliczyła jakieś drobne dla chłopaka.

Ogromny, purpurowy pęk pachnących róż stał przed nią na stole. Obszukała troskliwie każdy kwiatek, każdy listek, — nie znalazła biletu, ani listu, nie znalazła nic.

A jednak panna Malinowska nie miała chwili wątpliwości.

Kwiaty były od „niego", od „niego", — dla niej.

Co mogły oznaczać? Ach, tego oczywiście nie wiedziała! Mogły oznaczać wszystko i nic. Mogły nieść w sobie szczęście i smutek.. Mogły być zapowiedzią powrotu, pożegnaniem, lub prośbą o przebaczenie.

Czymkolwiek by jednak były, najważniejszym było to, że w ogóle przyszły!

Blady świt zastał pannę Malinowską przy kwiatach, znużoną i zamyśloną, ale promienną pogodną i uśmiechniętą.

Tak, czy inaczej „wielka przygoda" miała nareszcie swe zakończenie.....

W myśli tej kryła się dla niej cała — pół gorzka, pół słodka nagroda za tyle długich lat oczekiwania. Stało się naprawdę tak, jak się to dzieje tylko w najbardziej sensacyjnych powieściach....

Życie oszczędziło pannie Malinowskiej ostatniego, najgorszego rozczarowania....

Nie dowiedziała się więc nigdy, że w życiu jej zaszła, ot, mała pomyłka drukarska. Nie wielka sama w sobie, a brzemienna w skutkach. Bo to, co wzięła za zakończenie swej jedynej, „wielkiej przygody", — było po prostu dalszym ciągiem przygody, — nie jedynej i nie tak może znowu wielkiej, zwykłej, pospolitej przygody innej, młodej i ładnej kobiety.

Pani Basieńka mieszkała dziwnym okoliczności zbiegiem, jeśli w życiu w ogóle może być mowa o bezmyślnym i bezplanowym zbiegu wydarzeń, na wprost pokoiku panny Malinowskiej. Panna Malinowska znała ją oczywiście doskonale z widzenia, i nieraz z ukrytym żalem spoglądała na uroczą świeżość młodej kobiety, pani Basieńka zaś nie dostrzegła jej wcale. Pani Basieńka była bogato uposażona przez los: obok ładnej buzi, płochego usposobienia, miała też zazdrosnego męża i wielu wielbicieli. Mąż, jak to mąż, brutalny i pełen niewyrozumiałości dla uroczej płochości kobiecej, niecierpiał „fatygantów", kręcących się koło swej małżonki i urządzał jej z tego powodu częste, a jeśli chcemy zawierzyć skrzywdzonej kobiecie, najzupełniej niesłuszne sceny. Chcąc tedy uniknąć przykrych nieporozumień i bolesnych konsekwencyj, jako że nie jest to nowiną dla nikogo, że brutale mają głowę lekką, ale rękę twardą i ciężką, składano jej często hołdy bezimiennie. I oto jeden z gorętszych wielbicieli pomylił się w adresie, — niewiele, o jeden numer mieszkania tylko — drobna ta omyłka stała się dobroczynna, wypełniła wielką lukę w życiu panny Malinowskiej, a w życiu pani Basieńki nie sprawiła dużej wyrwy. Tylu ich tam kręciło się koło niej, że jeden więcej, jeden mniej, nie sprawiało już wielkiej różnicy.

Takie oto było zakończenie pewnej „wielkiej przygody", ale o tym panna Malinowska nie powinna się nigdy dowiedzieć, gdyż wtedy dwadzieścia parę ciężkich lat oczekiwania straciło by przecież dla niej cały sens wartość i znaczenie...

Mgr. Wanda Kierzkowska.

ROBERT GOFFIN

KAROLINA

CESARZOWA MEKSYKU

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA IRENA MACIEJEWSKA

Wyjazd z Wiednia jest do pewnego stopnia otoczony tajemnicą. Świta towarzysząca cesarzowej ma być mniej liczna niż zazwyczaj. Cesarz wydał się nieco zaskoczony wiadomością, iż Elżbieta wybrała tak zaciszne miejsce odpoczynku, zamiast udać się w jakąś niezwykłą podróż, jak to dotychczas czyniła, lub też wziąć udział w polowaniach organizowanych w Anglii lub Szkocji. Przypisuje jednak tę zmianę przyzwyczajeń królewskiej fantazji cesarzowej i nie okazując zbyt wiele zdziwienia oddaje się w dalszym ciągu swej codziennej pracy administracyjnej z dokładnością i punktualnością, której nic nie zdołało naruszyć w ciągu 68 lat panowania.

W rzeczywistości zaś sprawy przedstawiają się nieco inaczej. Cesarzowa rokrocznie polowała w Anglii w towarzystwie świetnego młodzieńca, imieniem Bay Middleton, z którym łączyły ją zażyłe stosunki. Jeśli można wierzyć pamiętnikom hrabiny de Wallersee, piękny oficer szkocki odegrał nawet pierwszorzędną rolę w życiu sentymentalnym pięknej cesarzowej. W tych warunkach nie wyda się zapewne dziwnem, iż cesarzowa musiała izolować się na pewien czas w zacisznym i oddalonym pałacu, by odbyć potajemny połóg.

Trzeba dodać, iż już od dłuższego czasu pożycie małżeńskie między cesarzową Elżbietą a jej mężem zostało przerwane, a cesarzowa posunęła się nawet tak daleko, iż sama wybrała na swą zastępczynię Katarzynę Schratt i przedstawiła ją Franciszkowi Józefowi. Wkrótce pani Schratt została oficjalną kochanką cesarza i serdeczna zażyłość między nimi trwała aż do śmierci Kaisera.

Elżbieta zmuszona więc była znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, w której się znalazła. W roku 1881 żadna cesarzowa nie mogła powierzyć swego losu rękom, choćby najbardziej doświadczonym, fabrykantek aniołów, nie pozostało więc nic innego, jak tylko odbyć potajemny połóg, zapewniwszy sobie wszystkimi możliwymi środkami absolutną tajemnicę.

W czternaście lat po Karolinie przyszła kolej na Elżbietę, która przybywszy do zacisznego pałacu w Sassetot, pisała do cesarza, iż doskonale się w nim czuje i spędza czas na przejażdżkach konnych. Dla podkreślenia swego dobrego samopoczucia, cesarzowa dodała, iż przyjęła niedawno wizytę pewnej damy z wysokiej arystokracji angielskiej, która przysłała jej w prezencie kilka wspaniałych wierzchowców pełnej krwi.

Przed wyjazdem do Normandii cesarzowa sporządziła testament i starannie uporządkowała wszystkie swe papiery i listy. Część z nich została spalona, reszta zaś powierzona bratanicy, z tym, iż ma je ona złożyć w pałacu swego ojca w Bawarii.

Pamiętniki tej nieszczęśliwej bratanicy, która tak smutnie zakończyła życie, opowiadają, iż pewnego dnia ojciec jej, książę Ludwik, ten co poślubił aktorkę Henrykę Mendel, otrzymał dziwny telegram, treść którego poruszyła całą rodzinę. Cesarzowa powiła córkę i prosiła swą bratową o pomoc przy przewiezieniu dziecka do pewnej rodziny wiedeńskiej, gdzie dziewczynka miała być wychowywana w największej tajemnicy.

Na nieszczęście małżonka księcia Ludwika nie znała języka francuskiego i obawiała się jakiegoś niepowodzenia w podróży. Zadepeszowała więc o tym do Sassetot les Mauconduits, skąd wkrótce nadeszła odpowiedź cesarzowej: „Wyślijcie Marię i Jenny".

Hrabina de Wallerse opowiadała, iż udała się do Normandii za paszportem węgierskim, wystawionym na imię hrabiny Irmy de Nagy-Tamassa. Po wylądowaniu w Fecamp udała się w oczekującym ją powozie do posiadłości sąsiadującej z pałacem, gdzie została przyjęta przez starą damę angielską, przyjaciółkę Bay Middleton'a, która po serdecznym powitaniu bratanicy cesarzowej opowiedziała jej o przyjściu na świat małej dziewczynki.

Trzy osoby były obecne przy połogu: jakaś tajemnicza akuszerka, zwana Frau Sari oraz dwóch lekarzy, Wiedehoffer i Braun. Wszyscy złożyli przysięgę zachowania tajemnicy.

W czasie pobytu w Normandii hrabiny de Wallersee, otoczeniem cesarzowej wstrząsnęła niespodziewana wiadomość: Franciszek Józef zapowiedział swą wizytę w Sassetot. Rzeczywiście przybył wkrótce incognito ku wielkiemu przerażeniu całej świty, która obawiała się aby cesarz nie zdał sobie sprawy z prawdziwych przyczyn stanu zdrowia swej małżonki. Zdołano jeszcze przedtem w wielkim pospiechu wyekspediować dziecko wraz z mamką do Wiednia, a bratanicę cesarzowej ukryto w Fecamp.

Cesarz zastał Elżbietę w łóżku, bardzo bladą i mizerną. Na widok chorej żony ogarnęło go wielkie dla niej współczucie. Wyjechał jednak uspokojony zapewnieniem doktora Wiederhofera, iż nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo i że upadek z konia, co podano jako powód choroby cesarzowej, nie pociągnie za sobą groźnych następstw.

Bratanica cesarzowej, notując to wydarzenie w swych pamiętnikach, dodaje: „Dziś, gdy myślę o tym, wydaje mi się wprost nieprawdopodobne, by cesarz nie spostrzegł nic anormalnego".

Dziewczynka urodzona w Normandii, a wychowana w Moedling pod Wiedniem przez jakąś poczciwą rodzinę małomieszczańską, miała zostać w przyszłości hrabiną Zanardi Landi, która zamieszkując w Anglii, opublikowała w 1914 r. słynną książkę „Tajemnica cesarzowej". Treść tej książki potwierdza całkowicie historię jej urodzenia w Sassetot w 1882 r. i rzuca światło na całe wydarzenie, wyjaśniając niejeden tajemniczy szczegół misternego mechanizmu, który musiał funkcjonować po to, aby cesarzowa Elżbieta mogła odbyć połóg i zapewnić w przyszłości edukację swemu dziecku, nad którym czuwała przez całe życie aż do fatalnego dnia, gdy padła w Genewie pod ciosem morderczego sztyletu na brzegu jeziora.

Przez ten czas cesarzowa Eugenia prowadzi żałosną egzystencję, utkaną z żalów i wyrzutów sumienia. Wszystko już dla niej skończone! Nic nie wiąże jej z życiem. Cesarstwo zapadło się w przeszłość, Napoleon III umarł nędzną śmiercią, syn jej został zamordowany przez Zulusów. Pocóż żyć w takim strasznym poniżeniu i rozpaczy!

W parku Bouchout życie toczy się zwykłym trybem. Karolina wstaje dość późno, zajmuje się poczem słucha uważnie głośnej lektury jednej ze swych dam dworu. Do śniadania cesarzowa zasiada z całą swą świtą, którą nieraz identyfikuje z widmami przeszłości. Duch jej żyje wciąż w świecie imaginacji; wyobraźnia przeobraziła obszar parku w Cesarstwo Meksykańskie, a otaczających ludzi w dworaków nieistniejącego już dworu. Współbiesiadnicy zaś jej troszczą się tylko o to, aby cesarzowa spożyła odrobinę posiłku, co pozwala im w spokoju dokończyć śniadania.

Po południu cesarzowa z oczami utkwionymi w dal, przysłuchuje się grze fortepianowej panny de La Fontaine, a gdy pianistka popełnia jakiś fałsz, cesarzowa tupie w gniewie nogą. Mimo potęgującego się obłędu, który coraz wyraźniej objawia się atakami bezrozumnego gniewu i długimi okre-

sami niepoczytalności, cesarzowa w dalszym ciągu lubi muzykę i dobrze ją rozumie. Grywa często stare pieśni i nieraz wykonuje na cztery ręce partytury, które odczytuje bez trudności.

Gdy pogoda dopisuje, Karolina wychodzi do parku, spaceruje w pięknych alejach, siada na omszałych ławkach, lub stanąwszy nad brzegiem stawu, długo przygląda się gwiaździstym nenufarom, po czym pochyliwszy się nad nieruchomą taflą wodną, rozmawia w niezrozumiałym dla nikogo języku, z cesarzową Meksyku, która spogląda ku niej z lustrzanej powierzchni.

Zdarzają się dnie, gdy cesarzowa prowadzi długie monologi z cesarzem Maksymilianem, stojąc przed jego portretem, po czym wyjeżdża na przejażdżkę poprzez park i łąki, aż do granicy wielkiej posiadłości, skąd otwiera się rozległy widok na sąsiednie pola. Nagle zrywa się z siedzenia z gestem przerażenia i każe zawracać do pałacu. Nie trzeba oddalać się z Meksyku. Cesarzowa nie może opuścić swego państwa. Poza jego krańcami ciągną się zdradliwe wąwozy, skąd powraca się z ukwieconymi dłońmi. Czy słyszycie ten chrapliwy śpiew wielkiego kapłana indyjskiego z żółtym psem? Czy widzicie te wielkie drzewa kasztanowe, to przecież odwieczne cedry! Pod nimi cień Montezumy przychodzi co wieczór na spotkanie z Maksymilianem. Nigdy więcej nie pojedziemy w stronę kościoła w Meysse, gdyż tam czyha arcybiskup Labastida! Białe nenufary to serca zmarłych dzieci indyjskich. Pozwólcie mi zanurzyć gorące dłonie w wodach jeziora. Jutro o świcie płynąć będą po nim Indianie na ruchomych kwiecistych wyspach. Jesień ozłoci niebawem zieleń liści, zieleń bardziej zieloną niż Meksyk. Spójrzcie na te zielone lasy, szukam już tak dawno w nich Najświętszej Panny z Gwadelupy, która się ukryła w zielonej kapliczce, zielonej jak majowe zboże, jak perfidne oczy pani Bazaine, jak woda w studni w Yukatanie, jak fale morskie w Miramarze, jak czerwone ręce cesarzowej Eugenii, jak rosa na kwiatach ogrodu w Cuernavaca, jak zapach wanilii w mrocznych salach w Oaxaca, jak smugi zorzy porannej, jak barwa rozgniecionej wiśni, barwa zielonego lasu, barwa barwy Maksymiliana, gdy objeżdżał północne prowincje.

Czy pamiętasz te noce zimowe, pachnące wiosną? Piramidy bogów azteckich? Gdzie są piramidy i wulkan, dymiący na horyzoncie? Skrzydlaty wąż zemścił się! Napoleon III kracze jak zolipot. Wszyscy bogowie indyjscy mszczą się. Trzeba będzie znowu składać w świątyniach ofiary z krwi ludzkiej. Dookoła staną wszystkie cesarzowe o palcach upierścienionych księżycem, wszyscy następcy tronów napiętnowani od zarania dzieciństwa, wszyscy cesarze kryjący się pod osłoną swych państw jak pod kapturem w dżdżysty wieczór, wszyscy dygnitarze ubrani pod rozwiewającymi się sutannami w strój toreadorów, wszyscy generałowie, którzy tak pięknie tańczyli habanerę wśród kaktusowych pól. Bogowie indyjscy mnie pomszczą, znam dobrze zaklęcia czarodzieja z Campeche, nie starczy jednej rzeki krwi, by zmyć hańbę Habsburgów. Cesarstwa będą padać jak dojrzałe owoce w sadach Yukatanu. A na dnie źródła prawdy leży wspomnienie o mnie i moje przekleństwo. Zapach wanilii, zapach fig, zapach ciepłych dłoni, zapach błogosławionego drzewa mangowego, zapach ziemi ognistej, zapach liliowego grzechu zamkniętego w kielichach orchidei, zapach twych gorących łez na mych przymkniętych powiekach, ukochany Maksymilianie! Wracajmy, wracajmy co prędzej do Chapultepec! Cesarz oczekuje mnie od lat pod zegarem z muszli. Tylko jego tkliwe spojrzenie może ugasić płomień, który mnie trawi. Wszystko płonie! Wracajmy jak najprędzej! Tam pod kasztanem stoi duch Montezumy prześladujący Habsburgów.

Już przeszło 20 lat cesarzowa Karolina przebywa w swym zaczarowanym cesarstwie meksykańskim w Bouchout. Któregoś wieczoru dostaje nagle gwałtownego ataku szaleństwa. Uspakaja się dopiero pod wpływem kojących słów i serdecznych spojrzeń barona Goffinet. Tej nocy runęło w parku wielkie drzewo kasztanowe. Co wróżą te złe znaki? Dlaczego Karolina wspominała przed zaśnięciem o Elżbiecie?

10 września cesarzowa Elżbieta po krótkim pobycie w Evian przybyła do Genewy. Stojąc w zadumie na brzegu błękitnego jeziora rozmyśla smutnie o swym życiu. Wspomnienie Rudolfa, ukochanego syna, cień którego błądzi w zaświatach w poszukiwaniu ducha Marii Vetsery, nie opuszcza jej ani przez chwilę. Dlaczego rozdzielono tych dwoje po śmierci nawet? Dlaczego cesarze są tak bezlitośni dla innych? Jakież okrutne jest przeznaczenie możnych tego świata. Od śmierci nieszczęśliwego Rudolfa tyle doniosłych wypadków zaszło w Europie: następca tronu rosyjskiego omal nie padł ofiarą zamachu w Japonii, wielki książę belgijski Baldwin umarł nagle w dniu 25 stycznia 1891 roku, w czerwcu 1894 roku Carnot został zamordowany w Lyonie, 15 lipca 1895 roku zgładzono podstępnie Stambułowa.

Cesarzową ogarnia bezbrzeżna melancholia. Maksymilian, Ludwik Napoleon, Ludwik II, Rudolf, Baldwin! Jakiż nienasycony duch łaknie tylu ofiar? Przeszłość rysuje się krwawymi głoskami, przyszłość otacza nieprzenikniona ciemność, a okrutna rzeczywistość czyha już na brzegach spokojnego jeziora. W pobliżu przystani statków, do której zdążają dwie kobiety, ukazuje się nagle jakaś męska postać. W nieuchwytnej dali wznosi się łańcuch ośnieżonych gór. Śliczny ciepły dzień robi wrażenie wiosny. Jedna z kobiet odzywa się po węgiersku: „Podobno tej jesieni kasztany na nowo zakwitły w Praterze i Schönbrunnie". Słońce kładzie ciepłe blaski na głębokie i zimne wody jeziora. Kobiety, słysząc ostatni sygnał statku, przyspieszają kroku. Nadbrzeżna ulica Mont Blanc jest prawie pusta. W chwili gdy panie mijają samotnego przechodnia, ten odwraca się raptownie i zadaje cios jednej z nich. Krótki przebłysk przerażenia... lecz pasażerki nie zatrzymują się i wstępują szybko na pokład statku, który za chwilę odpływa. Ranna wydaje jęk bólu i nagle słabnie, chwieje się, bladość okrywa jej twarz, powieki ciężko opadają na zamglone oczy. Przerażona towarzyszka pochyla się nad nią i widzi cienki strumyk krwi, wypływający spod lewej piersi. „Na pomoc, na pomoc!" Nieznajomą przenoszą na górny pokład statku. Pod rozpiętym stanikiem ukazuje się głęboka rana. Kapitan statku wydaje rozkaz powrotu do Genewy. Ranna rzęzi, wymawiając jakieś bezładne słowa. Czym prędzej przenosi się ją na noszach do hotelu i wzywa się dwóch lekarzy. Towarzyszka jej zapytuje się z płaczem, czy jest jeszcze nadzieja ratunku. Doktor odpowiada, że wszystko skończone.

Elżbieta, cesarzowa Austrii została zamordowana przez anarchistę Luccheni! Na wszystkie strony Europy biegną z Genewy telegramy: cesarzowa Elżbieta została zamordowana... O godzinie w pół do piątej cesarz Franciszek Józef wciąż pracuje jeszcze w swym gabinecie w pałacu schönbrunnskim. Gdy mu oznajmiają straszną wiadomość, podnosi się ze swego fotela i przez dłuższą chwilę stoi nieruchomo, jakby rażony gromem.

„Nic nie zostanie mi zaoszczędzone na tej ziemi" mówi głucho i opada w ponurym zamyśleniu na fotel. Hrabia Paar wzywa pospiesznie piękną Katarzynę Schratt, by ukoiła cierpienia swego pana.

1898 rok! Karolina ma już 58 lat. Oto już od 31 lat żyje poza ludzkimi normami. Czy widzi w swym tajemniczym świecie co innego niż wszyscy? Czy bezwolnie kieruje wypadkami? Czy przeczuwa je? Czy to z powodu tragicznej śmierci Elżbiety uległa wczoraj temu okropnemu atakowi? Zdawało by się jednak, iż już od długich lat nic nie przenika

Ciąg dalszy na stronie 873.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

CMENTARZ

Zakołysały się stare wierzby cmentarzowe,
Ścieląc złotymi liśćmi samotne mogiły
Niby szepcząc pacierze smutnie się chyliły
Jakby chciały otulić te ponure groby
Których dłoń nie ozdobi wieńcami żałoby
I na których nie spoczną oczy bólu łzawe...
Smutne brzozy płaczące nad nimi się chylą,
To znów wicher zawyje z żalu nad mogiłą,
I jakieś ptasze przeleci jakby duch skrzydlaty
I ktoś spuszczą na cmentarz kawał czarnej szmaty...
To noc głucha przybyła, by otulić te groby
By ustroić i spowić swoją wstęgą żałoby.

Sława Słomczyńska.

DOBRE RADY PANI ZOFII

ADRESY

O adresy, celem dosłania zalegających w redakcji listów, proszeni są: „Burza", „Wit z Poznania", „Wicha", „Maruta", „Marzące Oczy".

ZWRÓCIŁAM

„Wirryt". Słusznie Pan zauważył, że każdemu człowiekowi jest przeznaczony okres powodzenia i szczęścia, a w tym sedno, aby umieć ten okres zręcznie przedłużyć. Zaś pojęcie szczęścia jest naprawdę bardzo indywidualne i nie ma dwóch ludzi równie go interpretujących. Tu też należało by mieć tyle umiaru, żeby od tej delikatnej rzeczy, jaką jest nasze marzenie o szczęściu nie żądać za wiele.

W tej chwili czytam dalszy ciąg Pana listu i rozjaśniam się cała w uśmiechu. Okazuje się, że umie Pan być nie tylko „miłym chłopcem", ale także radosnym kompanem, a to jest ważna umiejętność!

Na fotografii nie wygląda Pan aż tak groźnie, raczej niesłychanie sympatycznie i ujmująco. Teraz rozumiem, dlaczego pewne osóbki tak bardzo osaczają w ataku jednego nieuchwytnego żołnierzyka!...

Fotografię zwróciłam w myśl wyrażonego życzenia.

A teraz sprawa główna, dzięki której otrzymał Pan odpowiedź poza kolejką. Mianowicie oznajmiam, że nowelkę Twoją zakwalifikowałam do druku, oczywiście po przeprowadzeniu pewnych poprawek.

Proszę nie przestawać pracować i nadal i przyjąć moje dobre życzenia!

Komunikaty:

„Serdecznie dziękuję tym wszystkim, którzy przesłali mi pozdrowienia i w zamian przesyłam im również pozdrowienia."

Ślicznie dziękuję „Nieznajomej" za miłe pozdrowienia z Liskowa. Były one dla mnie niespodzianką.

„Haneczce z Poznania" — autorce „ciętego" listu — przesyłam miłe pozdrowienia".

W ZADUSZKI...

Stają przed nami widma bladych cieni
tych, którzy wczoraj odeszli w zaświaty —
idziemy do Nich dziś oniemieleni,
niosąc Im świateł należną obiatę...

Wizja przywodzi Zmarłych drogie twarze,
jakiś szept dziwny idzie pośród mogił —
to pamięć żywych zaludnia cmentarze
i w kornej prośbie chyli się przed Bogiem...

Maria de Schoenfeld, Hayderowa.

OJ, OJ!...

„Słoneczna Jasieńka". Oj, oj, wyobrażam sobie, jak nieprzyjemnie było Ci, Kochana Ty Moja, przy czytaniu odpowiedzi dla... też Jasieńki, ale „Uśmiechniętej Jasieńki"!

A wszystkiemu są winne podobne pseudonimy i brak adresów. Zdarzy się, że mam dwa równe pseudonimy — zaglądam do spisu, owszem na ostatnich kartkach jest pseudonim n. p. X. z adresem, aliści daleko przed nim jest też pseudo X, ale bez adresu — no i z tych dwóch robię jeden, a potem okazuje się, że jednak dwie różne piastują go osoby.

A jakby nie było, nie mogę pamiętać paru setek pseudonimów i adresów — to jest zupełnie niemożliwe!

Więc sprawa już wyjaśniona — prawda? Całuję Cię i czekam na list!

W DZIEŃ ZADUSZNY

Dzień posępny dogorywa,
Wieczór zeszedł, mgła opada.
Hen na niebie gwiazd przybywa,
A tęsknota sercem włada.

Dzień zaduszny... jakże smutny!
Czy to jaki duch pokutny —
ulatując w przestrzeń świata,
wolny dziś od czyśćca męki,

Dziwne budzi w sercu dźwięki?
Czy w wieczornej blaskiem zorzy
dusz zbawionych kawalkada,
porzuciwszy rajskie strony.

Płynie ponad kraj skrwawiony,
nad mogiły lecąc wiankiem,
by, wróciwszy w niebo rankiem —
skargę zanieść przed tron Boży?

Tam — gdzie gwiazdy tak wysoko,
wśród tęczowych barw strumieni,
widzi duszy ludzkiej oko —
zbrojny hufiec bladych cieni.

Zbigniew Wicherek.

WSPOMNIENIE

„Jutrzenka". Miło mi było przyjąć od Ciebie, Droga Dziecino, słowa serdeczne, a związane z niedawnym, a przecież już oddzielonym szeregiem równych, szarych roboczych dni — świętem krainiackim. Od razu stanęły mi przed oczyma te różne i tak ciekawe sylwetki zjazdowiczów, przypomniały się zamienione z nimi słowa i serdeczne uściski rąk.

A dalej, jak na komendę, wyrosła przede mną Wasza najdrobniejsza gromadka, ofiarowująca mi ten wspaniały bukiet z róż i goździków. I rozpachniły mi się w sercu te wszystkie tkliwe słowa, którymi zasypaliście mnie wówczas wszyscy.

A potem już widzę Was, jak wirujecie pod takt muzyki w tłumie kolorowym. Bawiliście się doskonale, a mnie to cieszyło ogromnie.

Tak! Ty mi to wszystko przypomniałaś dzisiejszym Twym listem. Miły jednak był ten dzień, bardzo miły!

Całuję Cię serdecznie i proszę, wstąp znów przy okazji do naszej redakcji!

Wszystkich pozdrowiłam w Twym imieniu i otrzymałam zlecenie uściskania Cię — chętnie uczyniłabym to osobiście, ale niestety!...

„Kochana Pani Zosieńko!

Kilka to już tygodni minęło od dnia zjazdu „Krainiaków", gdy miałam przyjemność Panią poznać i doznać tyle miłych wrażeń.

W związku z tym poczuwam się do miłego obowiązku podziękowania raz jeszcze za serdeczne przyjęcie, jakiego wraz z innymi „zjazdowiczami" doznałam. Dziękuję Pani przede wszystkim, pozatem również szczerze Wujkowi Januszowi, p. M. Z. oraz tym wszystkim, którzy nie szczędzili trudu, by nas jak najlepiej ugościć i zabawić. Wrażenia były silne. Zapadły głęboko w duszę, dlatego dzień ten będę zawsze uważała za jeden z najmilej spędzonych w mym życiu.

Jako jednej z członkiń zjazdu nasuwają się i mnie pewne refleksje i przyznam się szczerze, że nie zaznam spokoju, dopóki nie podzielę się mymi wrażeniami z wszystkimi sympatykami „Krainy". Dlatego bardzo proszę o umieszczenie mego, „Otwartego listu do „Krainiaków".

Drogie „Krainianki" i „Krainiacy"!

Dzień 11 września br., dzień, o którym na łamach „Krainy" dyskutowało się przez szereg miesięcy, a na który czekało z niecierpliwością i cieszyło się tylu członków — należy do przeszłości. Minął szybko, niepowrotnie!

I cóż się okazało? — Miłe działeczki Pani Zosieńki sprawiły Jej mały zawód! Z ogromnej liczby czytelników „Moich Powieści" przybyła zaledwie garstka. A gdzie reszta? Gdzie ci wszyscy, którzy ze wszech stron zapowiadali swój przyjazd? Ogromnie było przykro naszej drogiej Opiekunce — ogromnie! Rozumiem w zupełności, że wielu Krainiaków z tych, czy innych ważnych powodów przybyć nie mogło, na pewno jednak była znaczna liczba takich, którym w drodze nie stanęło nic tak wielkiego by nie przybyć. Czyż nie przejawia się tu wyraźna rozbieżność między pięknymi słowami a czynami...? Oj! drogie Siostrzyczki i Braciszkowie, trzeba koniecznie poprawić się!!!

A teraz chcę Wam szepnąć wszystkim razem i każdemu z osobna, ile straciliście, nie przybywając na zjazd. W dwa słowa ujawszy: bardzo dużo! Nie poznaliście przede wszystkim naszej przemiłej, kochanej p. Zofii, bardzo sympatycznego Wujka Janusza („jak się okazało, bez brody, łysiny i pantofli"), członków zespołu redakcyjnego, nie poznaliście się wzajemnie, nie widzieliście Targów Pałuckich, ani miasta Żnina, ani Zakładów I. K. P., po których oprowadził nas, objaśniając wspaniałe urządzenia, sam Wujek Janusz. Nie otrzymaliście specjalnie na nasz Zjazd wydrukowanych „pocztówek pamiątkowych". Pominęliście okazję ogromnie serdecznego przyjęcia, porozmawiania z członkami „Krainy", przybyłymi z różnych stron Wielkopolski, a nawet Warszawy. Pominęliście też sposobność zabawienia się wśród wesołego i miłego nastroju do późnego wieczora i zatańczenia z p. Zosieńką i Wujciem Januszem. Tak, Moi Drodzy, z Nimi samymi mieliśmy możność zatańczenia.

Zazdrościcie nam? Wierzę!

Pozdrawiam teraz wszystkich członków „Krainy", a w szczególności: „Marzyciela Mulforda", „Ferdy'ego", „Irka", „Szukającego Podchorążego" i „Pella". Dla pp.: Józefa Baranowskiego i Tad. Multańskiego prócz pozdrowień szczere uznanie dla Ich twórczości.

Halo! „Blanko" — w listopadzie, grudniu, albo najpóźniej w styczniu będę u znajomych, w Gnieźnie. Wpadnę do Ciebie. Serdecznie pozdrawiam. Kiedy ukażą się znowu Twoje śliczne wierszyki?

„Starsza Panna". — Co Pani porabia? Żałowałam, że wówczas nie było już sposobności pożegnania się, wyjechała Pani tak wcześnie. Załączam serdeczne pozdrowienie.

„Smutna Kazienko" — co słychać w B.? Czy Twoja chora ręka zagoiła się już zupełnie? Myślę o Tobie często. Pa!"

JESTEM BYDGOSZCZANINEM

„Zew". Przyjmuję Pana do naszego grona i śle życzenie, aby Ci było w nim serdecznie i swojsko.

Nowy nasz członek jest Wam już trochę znany ze swych wierszy, które w ostatnim czasie zamieszczałam w „Krainie". Domyślcie się, jak brzmi jego nazwisko.

A oto, co on pisze o sobie:

„Jestem rodowitym bydgoszczaninem, z miastem swoim związany duchowo najsilniejszym węzłem ukochania i czci. Kocham to miasto rodzinne, a ono odpłaca mi się tym samym uczuciem, z czego jestem dumny. Niemniej pragnę korespondować z nieznanymi a wierzę, że dobrymi i wartościowymi jednostkami z „Krain". Będę też rad niezmiernie, gdy moimi współkorespondentami okażą się „Krainiacy" z Bydgoszczy.

A więc proszę wziąć pod uwagę mój apel i nie pozostawić go bez echa!

Wszystkich członków „Krainy" witam szczerym uśmiechem i pragnę otrzymać podobny!"

PO POWROCIE!...

„Roześmiane Oczy". Dziękuję Ci za nadesłanie adresu. Rzeczywiście późno otrzymałaś należny Ci urlop, ale właśnie dlatego postaraj się, aby upłynął Ci specjalnie miło!

A po powrocie pomówimy sobie obszernie o różnych rzeczach — dobrze?

Bądź mi zdrowa i pisz!

„Kraina" ma od naszej nowej sympatyczki moc serdeczności!

FOTOGRAFIĘ ZAMIESZCZAM

„Samotna Limba“. Ależ naturalnie, że przyjmę Panią do naszego grona. Komu jest smutno i źle, kto czuje się osamotniony — ten ma w „Krainie“ zapewnione współczucie i braterską życzliwość. A Ty, jako ponadto młoda dziewczyna, wzbudzisz oprócz życzliwości także głębsze zainteresowanie.

Pozdrawiam i przechodzę do komunikatów: „Halo! Obserwator! Czy koniecznie ten ktoś, co będzie chciał pisać do Pana, musi być z okolic Gdyni, Grudziądza? A jeżeli nie, to co? Nie odpowie Pan?

„Młody Orle“! Orle mój! — Bądź tak dobrym — i z poza chmur — słowo rzuć — na „ugór“ mój!!!

Panu Józefowi Baranowskiemu — i Panu Adamowi Czekalskiemu moc podziękowań za cudne wiersze — Wszystkie są takie moje“!

Wszystkim „Krainiakom“ serdeczne pozdrowienia.“

MOŻE...

„Rozśpiewana Izabella“. Dziecino, tam jest zwykły podpis bez wskazywania osoby, dlatego nie ma powodu przypuszczania, że zaistniała pomyłka. Zresztą możesz mi przysłać swoje osobne zdjęcie, chętnie je zamieszczę i w ten sposób „Krainiacy“ dowiedzą się ostatecznie jak wyglądą ich dobra znajoma z listów.

Pozdrawiam Cię życzliwym uśmiechem. Ponadto w Twym imieniu przesyłam moc pozdrowień dla „Romantycznego Śpiewaka“.

NAPISZ!

„Irek“. Wszystkie te zdjęcia otrzymałam i mam je w albumie, lecz dokładnie nie wiem, czy zostawiasz mi je na pamiątkę, czy też mam Ci zwrócić? Napisz mi to, proszę!

O ile pamiętam, fotografia Twoja była już umieszczona w „Krainie“, zatem nie będziemy się powtarzać.

Wierszyki oddałam Wujkowi Januszowi do teczki.

Na razie ślę Ci serdeczności.

„Krainiakom“ donoszę, że pozdrawiasz ich serdecznie, a zwłaszcza tych, których poznałaś na zjeździe.

FOTOGRAFIĘ ZAMIESZCZĘ

L. B. — Łaguszew. Fotografię Pani zamieszczę w przyszłym numerze, ale nie wiem, czy nie będzie Pani miała nic przeciwko podaniu Jej imienia i nazwiska, bo pseudonimu nie obrała Pani.

Gdyby nie chciała Pani wyjawiać nazwiska, proszę mi donieść.

Pozdrawiam miło i czekam!

NOWA CZŁONKINI „KRAINY“

„Wrzos“. Na razie w odpowiedzi na list P. z dnia... nie ma daty! Więc na list, w którym Pani pisze, że po nadesłaniu należności za „Moją Przyjaciółkę“, poprosi Pani o nadsyłanie „Moich Powieści“ — przyjmuję Ją do „Krainy“.

Szczegółowej odpowiedzi na list poprzedni udzielę, gdy nadejdzie Pani kolejka — zgoda?

Proszę więc od dziś czuć się członkinią naszej „Rodzinki“ i cierpliwie poczekać na moją późniejszą odpowiedź!

PRZESŁAŁAM!

„Alchemik“. List Pana przesłałam na właściwy adres.

Za pozdrowienia przesłane dla „Krainy“ i dla mnie serdecznie dziękuję i odwzajemniam się szczerze.

TECZKA wuja Janusza

JESIENIĄ...

„Blademu kwiatu poświęcam“.

Złotą słoneczną jesienią
czerwienią się kiście jarzębin,
Chciałbym pozostać wspomnieniem,
które rozstanie pogłębi....
Mijają dni i miesiące
z latami i młodość przeminie
W naszej koniecznej rozłące
niech choć rozstanie me imię?

„Góralczka“.

CHOĆ NIEAKTUALNY!

P. M. Ch. Wierszyk Pani dobry, dlatego go drukuję, choć właściwie nie jest obecnie aktualny z uwagi na jesienną porę, podczas gdy on opiewa wiosnę.

Życzę Pani powodzenia w dalszej pracy i pozdrawiam życzliwym uśmiechem.

NIECH SIĘ UŚMIECHNIE SZCZĘŚCIE!

Niechaj zaświecą słońca promyki
I jasną cudną wiosnę zwiastują.
Niech dobrych tysiąc uczuć się zbudzi,
Które gdzieś w jaźni naszej nurtują...

Niech się uśmiechnie szczęście i miłość,
Niechaj się piosnka ptasza rozdzwoni,
A upojonej szczęściem i wiosną
Twój obraz jasny zabłyśnie w toni.

Niech się odbiją, jak dwa zwierciadła,
Oczy twe, Drogi — oczy kochane!...
I niechaj tęcza barw przecudownych
Odtworzy chwile niezapomniane.

Niech będzie wolno, jak dotąd było,
Nucić ci piosnkę z serca uderzeń.
Jak cudnie, kiedy w ciche wieczory
Zadzwoni głos mój serdecznych zwierzeń.

Więc pytam z wiosną dziś roześmianą
Z beztroskim, słodkim ptaków świegotem,
Czy będziesz dla mnie promiennym ranem,
Czy będziesz dla mnie słoneczkiem złotym?

Malwa Chadżyńska.

PROSZĘ SIĘ NIE ZNIECHĘCAĆ!

K. K. Kir. Mam tu Pani wierszyki pod tyt.: „Kwietne boginie“, „Przypływ i odpływ“, „Co sasanki o Tobie mówiły“, „Przyjaźń“ i „Oto otwieram okno“ — reszta jeszcze niedostatecznie skrystalizowana pod względem formy poetyckiej. Proszę pracować, nie zniechęcając się tym małym niepowodzeniem.

Do druku przeznaczyłem „Przyjaźń“ i „Oto Pozdrawiam Panią serdecznie.

PRZYJAŹŃ

Niosę swe serce do ciebie —
Na oścież oto otwarte...
Pójdź! — przyjmę cię w twej potrzebie
Wrota przyjaźni rozwarte!

Słowem cię miłym upieszczę,
Chwilę uczynię beztroską,
Odpędź swe myśli złowieszcze,
Radą obdarzę cię boską.

Rękę ci podam w zwątpieniu,
Do światła ciebie powiodę! —
Zaufaj memu ramieniu,
Za dom przyjm moją zagrodę.

Przyjaźni uczuć najszczerszych —
Wiązankę dla ciebie plotę —
Lecz i ty zostań mi wierny —
Twa wierność będzie mi złotem.

Bo nic tak bardzo nie boli,
Jak przyjaźń wzgardą spłacona.
Mych uczuć spłacić nie zdoła
Najszczersza złota korona.

Więc gdy me serce otwarte,
W przyjaźni cudowną kartę
Ty otwórz swego podwoje,
Wpiszmy nazwiska we dwoje.

Kaja Kirschowa.

DO MOJEGO NAJUKOCHAŃSZEGO SYNA!

Synu mój! Idź przez życie zawsze prostą drogą,
Niech nie nęcą Cię bujne manowców wygony,
W życiu różne historie przydarzyć się mogą,
Lecz pamiętaj: Co zasiejesz, takie zbierzesz plony.

Gdy rolnik nie żałuje sił, ma orne pole,
Taka jest święta wiara rolniczego ludu,
Lecz miast zboża wyrosną osty i kąkole,
Gdy rolnik pożałuje i znoju, i trudu.

Synu! Wszak myśmy wszyscy rolnikami swymi
A rolą jest nam droga życia aż po kres,
Baczmyż, by nie zachwaścić jej czynami swymi
I by nas nie opętał głupiej pychy bies.

A gdy przed Bogiem kiedyś rachunek zdać przyjdzie,
Jaki z arendy naszej przynieśliśmy plon,
Bóg w miłosierdziu swoim naprzeciw nam wyjdzie
I dopuści łaskawie przed swój Boski tron.

Maria Olechowska.

WIERSZYK ZAMIESZCZAM

M. O. Wierszyk Pani p. t. „Do mojego najukochańszego syna“ zamieszczam w numerze dzisiejszym. Nie jest on wprawdzie skończenie dobry, ale przecież w „Teczce“ mojej nie występują mistrzowie poezji, lecz skromni debiutanci.

Posyłam przyjazny uścisk dłoni!

CMENTARZE

Na Dzień Zaduszny!

Szumią liśćmi cmentarne drzewa nad grobami,
A w oddali żałośnie brzmią kościelne dzwony,
Wszędzie słychać „Ojcze nasz“, szeptanie ze łzami,
Znikły radość, dziś każdy jest smutny, wzruszony...

Pośród kwiatów i wieńców płonie świec tysiące,
Usta szepczą modlitwę, mknie słowo po słowie,
W koło sterczą mogiły ciemne i milczące,
A w nich nasi rodzice, siostry, bracia, synowie.

Tu pod krzyżem — staruszka modli się za syna,
Który walczył na froncie z rangą porucznika,
W jej pamięci została wiadomość jedyna:
„Zginął w strasznych męczarniach z ręki bolszewika“...

A tu jakaś sierota wątła i zsiniała
Klęczy u stóp mogiły swej matuchny drogiej,
Która zmarła przedwcześnie... Ojca ona nie znała...
Dziś przytułek jest domem dziewczynki ubogiej.

Tam znów — z twarzą, jak ściana bladą, łka młodzieniec
Przy pomniku swej lubej, wiernej życie całe,
Za ostatnie pieniądze kupił skromny wieniec,
Który zdobią trzy duże chryzantemy białe...

Skończyły się dla niego chwile szczęścia i marzeń
I nadeszły dni bólu, dni rozpaczy, dni marne...
Gdzie skierować wzrok — widać pełne smutku, łez twarze,
Płoną świece, a liśćmi szumią drzewa cmentarne.

Mieczysław Grzegorski.

NA SZCZYTY

Idę w górę,
idę pod niebios strop.
Nade mną słońce
pod wieczór gasnące —
Pode mną granit gór,
a wokół mnie jak gdyby dziwny chór —
Śpiewa wiatr,
Co poprzez ostre szczyty Tatr pędzi w dal!
Idę, by szczytu dotknąć stopę,
Idę, by nieba sięgnąć dłonią —
By bliżej Boga być,
By mi lżej było żyć!
A potem legnąć tam,
na twardym złomie skał!...
I żeby wiatr nad głową grał!
I zachodzącej tarczy spojrzeć w twarz,
Choć jeden raz.

WSPOMNIENIE

Szliśmy ciemną parku aleją.
Jesień wokół
Złoto - czerwona legła, tłumiąc odgłos kroków.
I milczenie zapadło w tej ciszy westchnieniem;
Za nami posuwiście pełzły szczęścia cienie.
Czy pamiętasz mnie? Nie wiem!
Przemijają chwile,
Niedostrzeżone, ciche, jak martwe motyle.
Aleja zasypana kwieciem tonie w mroku
I jak wtedy — nie słychać mych samotnych kroków...

CZEKAM...

Czekam wieści dalekich, co by ciepłym słowem,
dodały do mych pieśni jakieś tony nowe.

Czekam słów, co by z tonów skrzypiec rozełkadały moc wydobycia akordów nieznanych (nych i silniejszych akcentów użyczyły pieśni... czekam ich.... niech przybędą, póki jeszcze wcześnie!..

Danuta Albrycht.

ŁÓDŹ

Łódź nasza chyżo mknie przed siebie,
Piosenka leci w świata dal,
Księżyc i gwiazdy lśnią na niebie,
W krąg słychać cichy poszum fal.

A echo pieśni naszej ginie
Gdzieś w głębiach ciemnych, morskich wód,
Łódź nasza coraz dalej płynie,
Pokonywując każdy trud.

„Paddy incognito“.

MATKO NIE PŁACZ!

Leżysz, ciężko wzdychając, blada, przygnębiona,
W oczach Twoich znać smutek i ból rozpaczliwy,
Lekarstwami szafeczka cała zastawiona,
Cisza, co Cię otacza — jest błogosławiona:
Wszak przed chwilą był lekarz, dla nas tak życzliwy...

Nie widziałem Cię nigdy tak zrezygnowaną,
I patrzącą bez przerwy w obraz Matki Bożej,
Jakbyś myślą szeptała modlitwę mi znaną,
Jakbyś o coś prosiła tą Niepokalaną,
Która wszystkim w nieszczęściu odmieni, pomoże...

Lekarz dobry i szczery mówił mi w sekrecie,
Że to tylko chwilowe serca osłabienie,
Że tak silnej staruszki — nie ma już w powiecie,
Lecz nie wolno przejmować się starszej kobiecie,
Bowiem ze zmartwień nastąpić może pogorszenie...

Matko, nie płacz! Szlochanie rozstrój potęguje,
A w tym leży największa choroby przyczyna...
Wierz mi, Twa mizerna twarz — rozczula, przejmuje,
Nikt, prócz Twego, zdolnego do poświęceń syna.
Twoich żalów i cierpień — to nikt nie odczuje,

Mieczysław Grzegorski.

Impresje jesienne

Jest najpierw „złota polska jesień".

Marzenia majowe oblekły się w kształt zdrowego, radośnie zarumienionego pod palącym okiem słońca, jabłka.

Zdejmujesz je z drzewa swego życia. Czasem samo opada.



A oto nadchodzi ta druga jesień. Ta z włosem na wiatr rozwianym melancholijna tragiczka.

W sercu czujesz bolesną pustkę, żal za tym, co się stać mogło, a nie stało, żal dróg rozminiętych. Czujesz ciężar łez niewypłakanych, słów niewypowiedzianych...

A jesień idzie...



Swoim smutkiem niezdrowym wypłoszyła ptactwo, które z szumem tęskliwym poleciało szukać słońca, westchnieniami zdarła ostatnie liście z drzew, spojrzeniem rozpacznych oczu zabiła bladych, chorych ludzi.

Jest ci ciężko, źle — nie chce ci się żyć i egzaltujesz się pragnieniem nirwany. Jesienny karnawał już cię nawet nie cieszy, bo nie daje ci nic, prócz goryczy w ustach i „piasku" w oczach.

Nie chcesz parkietu balowych sal, więc zmień pantofelki — klejnociki na buty myśliwskie i idź!



Idź po prostu przed siebie.

Ta droga błotnista wcale nie jest martwa, zasnęła tylko na chwilę. A, ot, już się obudziła! Patrz, jak pilnie nadsłuchuje, co wszędobylski wiatr opowiada.

A ten wiatr!

Słuchaj, jak dmie zły, groźny, jak sapie, jak ryczy jak szlachcic, któremu pozew przysłali z sądu starościńskiego. To znów miękko, słodko, że ledwie dosłyszysz; jakby kto szeptał słowa kochania, albo nucił nad kołyską małej pieszczoty.

I znów równo, a szybko, równo, a szybko, jakbyś na rumaku szzlachetnym pędził w nieznane.



Popatrz, jak się jarzębina rozczerwieniła. Wie, że podsłuchiwać brzydko. A ot już się schowała w nagie ramiona graba. Ach ty kuternogo, uciekaj pod swoją miedzę, bo będzie z ciebie pasztet pierwszorzędny!

A tu pole. Czy nie piękniej pachną świeżo zaorane skiby, niż najlepsze perfumy świata?!

A jeśli ci się ten zapach nie podoba, to tu, bo co się może równać z wonią lasu liściastego późną jesienią?

A tu krzyż!



Pytasz o ten fartuszzek na nim bezradnie szamotający się.

Gdzieś komuś grozi nieszczęście — może dziecko czyjeś gaśnie.

To płótno pochodzi od tego, kto błaga Chrystusa o łaskę, o odwrócenie złego. Tu u nas, nie znajdziesz krzyża, na którym nie wisiało by ich po kilka.

Nad krzyżem tarza się odwieczny towarzysz ludzki — ból i rozpacz kąsająca



własne ręce, a z góry spływa ukojenie wielkie i słodkie, spokój i ufność.

Mówisz, że świat jesienią jest martwy.

Czy słyszysz, jak kuropatwy nawołują, jak lis umyka skrajem lasu, świecąc już nowym futrem, jak pochrząkują dziki, wychodzące na żer?...

Tętni tu życie.

Każde najmniejsze stworzenie, czuje, że żyje i przemyśliwa nad sposobem życia.

Spójrz na tę wiewiórkę, jaka stroskana, że małe zapasy orzechów poczyniła i pod koniec zimy trzeba będzie szyszkami się kontentować.

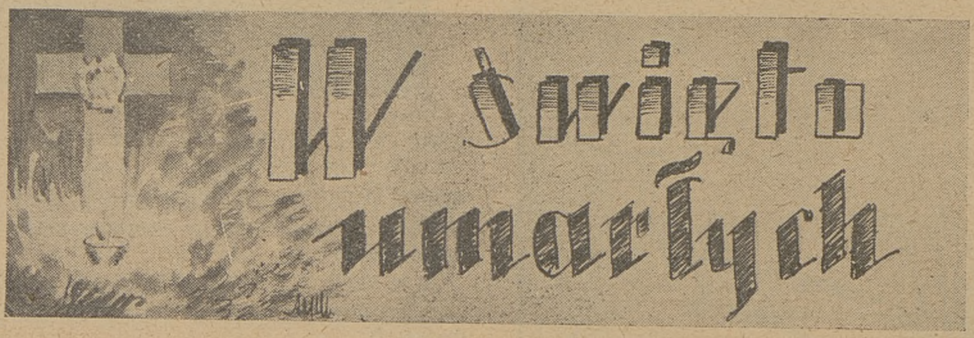
A ten żuk. — Gdzież dąży, ma jakiś cel i program w tym swoim małym łebku.

Cieszę się, że tak mówisz. Ja też kocham ten las. Ale nie tylko las. I te pola rozmokłe, drogi bezkreśne, każdą zbiedzoną, sczerniałą drzewinę.

Kocham te krzyże na rozstajach rozmokłe, gdy mgły wieczne nad łęgami.

I ludzi kocham. Najwięcej tych spod strzechy. Kocham za to, że choć są biedni, smutni i opuszczeni stoją dzielnie, odważnie i ufnie czekają na Piękno Majowej Nocy.

Halina Jaźwińska.



Na dzień zaduszny

Zadrgały smutkiem dzwony dalekie,
Jak echo przebrzmiałych dni,
U wrót cmentarnych płynie dziś rzeką —
Ból ludzki i gorzkie łzy...

Daremnych zmagań i walk — trud próżny —
Zamyka mogił tych sznur,
O, niech je ściszy — dziś w wieczór późny —
Żar westchnień i modlitw chór.

Niech w cieniu krzyża — na każdej mogile —
Zadusznych lamp błyśnie krąg
I zaśni w szarym, mogilnym pyle —
Bielutkich chryzantem pąk.

A brzozy wiotkie — symbole żalu —
Niech prośbą korną dziś drżą:
„O, Chryste, przyjm w swej światłości chwale
Te dusze, co w ciemniach mrą"...

Maria Zemmlerówna.

Późna już jesień zasnuwa Święto Umarłych cieniem smutku i melancholii. Słońce kryje się bojaźliwie za ponurą ścianą ciężkich, szarych chmur, nad uciszonym jakby życiem świata unoszą się białe, wilgotne opary mgły i deszczu.

W chaosie zapracowanych dni, w wiecznym pragnieniu zaspokajania głodu, zbliża się wolno, kroki ściszając coraz bardziej — Dzień Zaduszny...

Dzień Zaduszny... Jedyny wśród całego roku, inny niż inne dni — poważniejszy, zadumany — głoszący Memento, które jak oślepiająca błyskawica przyprowadza wielu ludzi do przytomności, jeśli utracili wiarę, wielu przypomina Prawdę, jeśli się od niej zbyt oddalili... albo o niej zapomnieli.

Jakaś wielka, niezbadana tajemnica, tajemnica śmierci, czepia się rozpaczliwiej niż zwykle, zatroskanych umysłów żyjących.

Dzień ten, jak nieszczęście, staje się pełny westchnień, głębokich rozmyślań, cierpień i łez gorących. Człowiek, jakim by nie był, uczuwa nagle swoją beznadziejną nędzę, widzi się ziarnkiem piasku, nic nieznaczącym stworzeniem na tle nieskończoności, wobec majestatu i potęgi śmierci...

Przeto chociaż na chwilę pozwoli szeptać swojej duszy, sercu... wsłuchuje się z trwogą i ukojeniem w jego mowę tajemną, uzmysławia sobie jasno straszny, niepojęty bezmiar życia pozagrobowego... rozumie lepiej moc Stwórcy, któremu składa w cichości ducha, najwyższy, niemy hołd...

— — — — — — — —

Idziemy wszyscy na cmentarze...

Tam, za niskie mury, z cegieł lub kamieni, w wioskach i w miastach, tam kędy w cieniu brzóz płaczących i modrzewi śpią zatopieni w wieczności umarli, gdzie po cienistych alejach, wśród omszałych, starych grobowców, błyszczących marmurów, bieli kamieni nowych mogił — tuła się niezmierna cisza i dziwny spokój...

Milczące głucho przez długie miesiące cmentarze ożywiają się, stojąc godnie w szacie świątecznej.

Szeleszczą nieśmiało opadające ostatnie liście jesienne. Między grobami snują się sennie postacie i długo, w skupieniu niezwykłym nad mogiłami swoich najdroższych osób się modlą...

Modlą się modlitwą żarliwą i wspomnieniami... o starej, dobrej matce, o ojcu zapracowanym, o synu, córce, o siostrze i bracie, o mężu i żonie, o ukochanym... Wszyscy oni tam leżą, niepomni na nic ani na nikogo.



Czy widzą nasze za nimi łzy serdeczne, nasz żal nieutulony; czy słyszą nasze łkania i bicie serca, które woła wspomnieniami o nich? Czy cierpią naszym cierpieniem niepocieszonym?..

Na szare piaskowce i kamienie, oplątane bluszczem krzyży i pomników, na świeżą darń mogił padają świerkowe wieńce, bukiety bladych listopadowych kwiatów i ciche urywane słowa pacierza:

„Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie!"...

Na zieleni grobów zakwitają różnobarwne klomby chryzantem i astrów. Wśród wzgórków, kryjących ukochane szczątki, rozlegają się ciężkie westchnienia, czasem płacz bezsilny postaci zakrytej gęstą, czarną krepą...

W murach wielu cmentarzy, pochylimy też głowy i złożymy wieńce nad grobami powstańców, którzy krwią swoją torowali drogę niepodległości Ojczyzny. Wdzięczna potomność wszystkim wystawiła piękne grobowce. Dziś składamy szczery hołd pamięci bohaterów.

Lecz wielka wojna pozostawiła jeszcze inne po sobie ślady. Spójrzmy na cmenta-



rze z długim szeregiem jednakowych, prostych mogił. Wojskowe krzyże, białe tabliczki echa strasznej tragedii światowej nie mówią, lecz krzyczą, jakby o okrutnej śmierci żołnierzy, o bezimiennych nieraz bohaterach. Ponure przejmujące żniwo wojny narodów... Tak niby już odległej, a jednak zawsze tak bliskiej...

Ginęli, często obcej służąc sprawie, na polach Szampanii, Belgii, pod Isonzo, w lasach karpackich, w Rosji, w Alpach, w obozach jeńców — Bóg jedyny zresztą wie gdzie! Leżą teraz, jak inni, obojętni na wszystkie sprawy tego świata....

Uczcijmy ich pamięć choć krótką modlitwą!

— — — — — — — —

A gdy zmierzch okryje zmęczoną dniem ziemię, na mogiłach zapłoną setki świeczek. Mdłe, migotliwe płomyki barwnych lampek rozniecą łunę nad cmentarzem, gdzie w osobliwym nastroju odbywa się tajemnicze misterium porozumienia żywych z umarłymi.. Wraca uporczywie myśl:

„Byliśmy czym jesteście — będziecie, czym jesteśmy..."

I na drgającym, refleksyjnym tle poświaty cmentarnej tym smutniej odcinają się groby osamotnione, zapomniane...

Al. Szloch.

z zewnątrz do pałacu w Bouchout. Małe państwo żyje jakby na innej planecie. Czy dla tej cesarzowej wiecznej nocy istnieje jakiś inny odrębny język, jakaś inna egzystencja, jakaś łączność telepatyczna, niezrozumiała dla jej otoczenia?

A po drugiej stronie Oceanu wypadki biegną swoim trybem. Ileż zmian w przeciągu 30 lat! Prezydent Lardo musiał opuścić Meksyk pod presją adwokata Iglesias'a. Wkrótce znowu wszystko się zmienia i oto Porfirio Diaz, dawny wróg cesarstwa, zostaje mianowany prezydentem. W 1878 roku sławetny generał Escobedo, który więził Maksymiliana w Queretaro, organizuje nieudany zamach stanu na korzyść prezydenta Lardo. Nieco później w 1879 roku na wojennym okręcie „Liberte" wybucha bunt marynarzy, stłumiony przez generała Mier y Teran masową egzekucją. Dzień 1 grudnia przynosi stanowisko prezydenta generałowi Manuelowi Gonzalez. W roku 1883 wchodzą w życie doniosłe reformy rolne i kolonizacyjne, realizujące program Karoliny sprzed trzydziestu laty. Jakżeż prędko zapomniano o tej wielkiej cesarzowej! Jakimiż dziwnymi drogami kroczy cywilizacja, to idąc naprzód, to cofając się wstecz, to znów powtarzając dawne próby. Dnia 31 października 1886 generał Trinidad Garcia de la Cadena, dowódca ruchu rewolucyjnego, który szykował wybuch wojny domowej na dzień 4 listopada, zostaje zaaresztowany przez oddział regularnego wojska w swej haciendzie w Zacatecas i na drugi dzień o świcie rozstrzelany bez sądu.

Czy rzeczywiście to wszystko się dokonało? Czy rzeczywiście to wszystko się wydarzyło? Przecież w Bouchout cesarzowa wciąż panuje w swym cesarstwie z 1866 roku, udaje się do Chapultepec po drugiej stronie wielkiego stawu, przewodzi na zebraniach Rady Regencyjnej, w czasie których wszyscy jej ministrowie zmarli, rozstrzelani lub zaginieni bez wieści, dyskutują z nią o doniosłych sprawach państwowych w języku niedostępnym dla zwykłych śmiertelników.

Otoczenie cesarzowej, przejęte jakimś tajemnym lękiem, nadsłuchuje w milczeniu głosu, płynącego z zamierzchłej dali lat. Cesarzowa Karolina śni i żyje; śni bo żyje, żyje bo snuje swój sen; cesarzowa Karolina, jak anioł męczeństwa lub ekstatyczna figura z indyjskich grobowców wznosi się ponad historię i ponad ludzkość, zaklęta w tragiczny symbol cierpienia i niesprawiedliwości. Nieszczęśliwa, obłąkana cesarzowa Karolina, mówiąca bezładne słowa o barwach zieleni, o tęsknocie, o westchnieniach czasu, o wiecznej przeszłości, trwa uparcie przy życiu jak nierealne zjawisko, dominujące nad rzeczywistością, jak nierozerwalne ogniwo między dwoma odrębnymi epokami, stając się punktem stycznym tragicznych wydarzeń, kamieniem węgielnym chylącej się do upadku historii ubiegłego wieku i odejdzie wówczas dopiero, gdy wszystkie potęgi mocarstwowe runą u jej stóp.

XX.

„Gdy wielki Jehowa niszczycielską dłonią wstrząsa światem, staje się nieubłagany jak straszliwy huragan" wyrzekła cesarzowa Elżbieta, dowiedziawszy się o śmierci króla Ludwika Bawarskiego. Zdanie to powraca na jej usta w styczniu 1889, gdy wraz z Katarzyną Schratt obwieszcza cesarzowi tragiczną wiadomość o samobójstwie Rudolfa w Meyerlingu. Od tej chwili nie zrzucała już żałoby z nieustanną myślą o przekleństwie, ciążącym nad dynastią, a serce jej nieraz buntowało się przeciw wierze i religii.

Franciszek Józef staje się coraz bardziej niedostępny i zamknięty w sobie. W ponurym milczeniu przeżywa klęskę swej dynastii i drży o przyszłość. Wie dobrze, iż Imperium Austriacko-Węgierskie trzyma się tylko władzą swego suwerena, jest jakby jego cieniem. Co się stanie z tym lennem, gdy zbraknie silnej ręki wodza? Już przecież za jego panowania cesarstwo doznało uszczerbku od zewnątrz, a wewnątrz toczy je rozkład. W żyłach Habsburgów krąży zepsuta krew, gubiąc tych wszystkich, którzy mieli przyczynić się do wielkości Cesarstwa. Trzeba jednak przede wszystkim być zawsze cesarzem, to znaczy, wszystko podporządkować temu ideałowi wszystko: wielkość, bogactwo, dumę, miłość, namiętność. Życie arcyksiążąt nie może być kierowane zwykłymi ludzkimi uczuciami, istnieją bowiem prawa obowiązujące suwerenów. Arcyksiążęta są obarczeni przeszłością swych przodków i ich dziedzictwem moralnym, które muszą powiększać i rozwijać. Lecz oto już od pół wieku czerw toczy owoc! Dynastia Habsburgów przez setki lat swego panowania zbyt usilnie odpychała wszystko co ludzkie, by osiągnąć absolutną władzę mocarstwową. To się mści. Dziedziczny freudyzm, piętnujący liczne pokolenia, tłumaczy degenerację, której nic już nie zdoła zahamować. Franciszek Józef jest jeszcze tym cesarzem, który potrafił zabić w sobie człowieka, lecz on będzie już ostatnim. Wszyscy ci, co są u jego boku i mają w żyłach krew skażoną pokrewnymi związkami małżeńskimi, a pozatem obciążeni dziedzictwem wieków, będą objawiać w końcu XIX stulecia skandaliczne apetyty, które są jakby powrotem do najniższych popędów ludzkiej bestii, niosąc złowrogie proroctwo rychłego końca tego, co było niegdyś najwspanialszym państwem świata.

Konflikt między miłością a rozsądkiem, walka namiętności z koroną, płomień niezaspokojonych pożądań, toczy nieustannie panującą dynastię w straszliwej zemście pogwałconych instynktów. Habsburgowie nie mieli już dość siły ducha, by oprzeć się zbrodniom, samobójstwom, szaleństwu i sadyzmowi. Stuletnia potęga formalistycznej etykiety i chronionego przez tradycję protokółu dworskiego zostanie zwolna obrócona w niwecz przez wicher przeznaczenia. Rudolf nie zawahał się w wyborze między koroną a miłością. W ostatnim liście do swej żony pisał: „Idę spokojnie ku śmierci, gdyż jedynie ona ocali wielkość mego imienia".

Franciszka Józefa ogarnia przerażenie na widok huraganu szalejącego na drodze, wiodącej ku tronowi. Chorobliwy lęk wstrząsa nim na myśl o arcyksiążętach, Otto, skandaliczny Otto, wiedzie bezwstydne życie wypełnione rozwiązłymi orgiami, stając się niewyczerpanym tematem libertynistycznych kronik. Czyż nie zjawił się nago, jedynie w hełmie na głowie, w restauracji Sachera; czyż nie kazał żonie stanąć nago przed pijanymi przyjaciółmi, których sprowadził do swej sypialni, czyż nie zrobił zakładu o to, że nago przejedzie na koniu przez aleje Prateru? Te fantastyczne pomysły, w jakich nagość odgrywa zawsze główną rolę, charakteryzują wystarczająco wartość moralną zdeprawowanego indywiduum, a obok niego Ferdynand Karol, który do tego stopnia nic sobie nie robił z Hofburgu, iż trzeba było go pozbawić wszystkich przysługujących mu tytułów z chwilą gdy ożenił się z córką drobnego kupca, przybierając nazwisko Ferdynanda Burga. Arcyksiążę Ludwik Wiktor gardził towarzystwem kobiet, otaczając się zalotną świtą pięknych młodzieńców, i zachowując się tak nieprzystojnie, iż cesarz był w końcu zmuszony umieścić go w domu zdrowia.

Jest jeszcze Jan Salvador, spiskujący niegdyś z Rudolfem, który czuje nieprzezwyciężony wstręt do arystokracji. Poślubiwszy swą kochankę, wypływa z nią jachtem na południowe morza i ginie bez śladu. Od tej chwili tajemnicza legenda otacza Jana Salvadora, który zstąpił między zwykłych śmiertelników.

A wreszcie Leopold, co zrzekł się swego tytułu i praw dynastycznych, by móc poślubić statystkę z teatru, po czym wiódł żałosną egzystencję wśród licznych konkubin i jeszcze liczniejszych dzieci.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

LUCYNA ROKOMYSKA

8)

Biały Płomień

Zawirował jej świat. — Przymknęła strwożone oczy. Na usta — spadły usta w długim jak wieczność, pocałunku...

— Andrzeju — czekaj... ja nie chcę...

Odsunął ją na moment. Porwała się z ziemi blada, zmieniona i odbiegłszy parę kroków stanęła pod drzewem. Wyciągnął za nią ręce.

— Luto, chodź do mnie! Luto...

Pokręciła poważnie głową, nie ruszając się z miejsca.

— Chodź ,kochana — kusił głos i wyciągnięte ręce.

— Nie! Nie przyjdę, aż... mi powiesz ,że na to — odważysz się dopiero po ślubie...

Zapadła cisza. — Mężczyzna usiadł na pniaku i najspokojniej zapalił papierosa. Luta pozostała pod drzewem bezradna z nieprzyjemnym wrażeniem po własnych swoich słowach.

— Pójdzie sobie chyba? — Do Andrzeja nie wróci. — Nie potrafiłaby za nic zrobić tych paru kroków, dzielących ją od niego...

Luta odwraca się do drzewa, by ukryć twarz, bo wielkie łzy poczynają lecieć z oczu jedna za drugą.

— Chyba pójdzie już?...

Nie, nie pójdzie. Bo oto kochane ramię odciąga ją delikatnie od drzewa, a głos najdroższy w świecie, mówi:

— Dobrze. Śpij dalej — maleńka królowo krasnoludków. — Zbudzę cię dopiero po ślubie...

ROZDZIAŁ IX.

Pani Ciembronowiczowa słuchała z zmarszczoną brwią tego, co mówił Andreo Velli

— Chciałbym, aby o naszym ślubie nie wiedział na razie nikt i aby Luta mogła pozostać tu nadal. — Dobrze, proszę pani?

— Wiec dlaczego pan... — pani Ciembronowiczowa podniosła oczy i napotkawszy błagalne spojrzenie córki, nie dokończyła zdania.

— Mamusiu, my się kochamy — i to wszystko! Prawda? — Andrzej jak tylko będzie mógł, weźmie mnie do siebie.

Podeszła do matki i obejmując ją za szyję, patrzyła z prośbą w oczy. Matka powiodła spojrzeniem po pięknej twarzy mężczyzny, bladej mocno w tej chwili — zajrzała w proszące oczy Luty i rzekła:

— Dobrze, dziecko; chciałabym, abyś była szczęśliwą!

— — — — — — — —

W małej, górzystej wioseczce na Podhalu zamieszkali na sześć tygodni, aby tu, z dala od ludzi, mógł się odbyć ich ślub. Domek, w którym zamieszkali stał na niewielkim pagórku, u którego stóp ścieliła się olbrzymim szmatem łąka, pełna różnokolorowego kwiecia w tej porze. Za łąką chwiał się pas zielonych łóz, strojących brzegi Dunajca. Za Dunajcem znów góry porosłe lasem, poprzetykane tu i ówdzie jasną plamą sadu z chatą pośrodku. Za domem pięła się w górę wąska droga ku małemu, wiejskiemu kościółkowi, otoczonemu wokół przepychem starych, wyniosłych lip. Stamtąd w dzień pogodny widać było, jak na dłoni, Tatry kąpiące swe szczyty w błękitach. Luta była szczęśliwa bardzo. — Ciągle jeszcze tym szczęściem pierwszych dni, które objawiało się śmiechem, radością i ciągłą potrzebą mówienia o nim komuś. — Codziennie rano Andrzej pukał do jej drzwi; otwierała i wychodziła już ubrana, bo codziennie rano pięli się stromą ścieżką do kościółka na górze. W kościele rozłączali się, — Andrzej szedł na chór grać staremu, bardzo sympatycznemu proboszczowi — a Luta siadała w ławce.

Płynęły chwile... zapadały głęboko w duszę...

Po skończonej mszy staruszek proboszcz odprowadzał ich zwykle kawałek drogi rozmawiając z Andrzejem o muzyce, żartując z Lutą, lub opowiadając miłym, trochę drżącym głosem, o pszczołach, których miał parę uli, a które bardzo kochał. Po przyjściu do domu jedli śniadanie które przyrządzała sama Luta, a po tym najczęściej przeprawiali się na drugą stronę Dunajca i błądzili ślicznymi miedzami wśród ledwo kołyszących się zbóż, poprzetykanych gęsto makami, lub modrymi oczami bławatków. Szli przytuleni do siebie. — Czasem, gdy miedza zwężała się tak, że trzeba było iść pojedyńczo, on brał ją na ręce niby dziecko i niósł. Ale Luta tych chwil — choć pragnęła ich gorąco — bała się trochę, bo wtedy oczy Andrzeja zaczynały się żarzyć jak dwa węgle, a twarz stawała się do drapieżnego ptaka podobną...

— — — — — — —

Był cudny, czerwcowy wieczór.

Zza góry, po drugiej stronie Dunajca począł się wychylać księżyc. Malutki rąbek dopiero wychynął, a już ziemia, skryta dotychczas w mroku, pojaśniała. Za chwilę, gdy wyjdzie cały, ogromny — zrobi się jeszcze jaśniej, a po tym, gdy na środek nieba zażegluje — osrebrzy ziemię całą, — przemieni w czarodziejską bajkę...

— Andrzeju! patrz! Wschodzi prawie w tym miejscu, gdzie rośnie ten samotny świerk! O! Jak szybko wspina się po pniu, — po gałęziach, — teraz stanął na wierzchołku i tak śmiesznie wygląda, jakby się wahał, czy ma zacząć swoją codzienną wędrówkę!

Srebrzysty śmiech popłynął z ust dziewczyny stojącej na dziobie łodzi, budząc wokoło echa.

— Cicho... nie głusz słowików, najdroższa! Niech śpiewają miłości swojej i naszej...

Pociągnęło ją mocne, męskie ramię na ławeczkę przybitą w środku łodzi... objęło mocno.., Łódź opuszczona z prądem, płynęła cicho w księżycowej smudze, wśród nocy rozgranej świerszczami rozełkanej słowiczym śpiewem....

ROZDZIAŁ X.

Dzwoniono na ranną mszę. Cieniutki głos dzwonka spłynął ze wzgórza, musnął w przelocie trawy ciężkie od brylantowych kropel rosy, zaśpiewał różnokolorowym główkom kwiatów „dzień dobry" — i wpadł przez okno do pokoiku Luty.

— Już czas — szepnęła.

Była dzisiaj jakby inna: dużo bledsza niż zwykle z ogromnie rzewnym uśmiechem na ustach.

— Pójdziemy, jak zwykle, na mszę — myślała — a po tej mszy — mój ślub... Żoną Andrzeja zostanę — zaszeptała podnosząc brwi w górę, jakby się dziwiła temu, o czym mówiły jej usta. — Cieniutki głos dzwonka śpiewał ciągle.

— A to — myślała dalej głośno — że welonu i wianka mieć nie będę i że nie ma tu nikogo z moich, to... nic... To nic... — powtórzyła jeszcze raz po chwili. — Ale nie było to widocznie nic, bo powieki na wiel-



Pięknym wspomnieniem lata jest powyższe zdjęcie przedstawiające rewię jachtów.

kich, ciemnych oczach poczęły się trzepotać prędko... prędko. Ręce spuszczone wzdłuż prostej, z niebieskiej markizetty, sukienki, zacisnęły się mocno w piąstki. — Rozległo się pukanie w drzwi. — Luta podeszła prędko do stołu, na którym leżał duży pęk polnych bławatków. Jej ślubny bukiet. W drzwiach stanął Andreo Velli.

— Dzień dobry — Luto! Gotowa jesteś?

— Idę, Andrzeju — odpowiedziała tuląc kwiaty do siebie i podnosząc na niego oczy, w których było morze miłości. — Idę — dodała jeszcze pół żartem, pół serio — aby nie opuścić cię aż do śmierci...

Nie odrzekł nic, tylko schyliwszy swoją piękną głowę, przytulił usta do rąk, tonących w gęstwie polnych kwiatów.

Gdy weszli do kościółka staruszek ksiądz dreptał już przy ołtarzu. Maleńki, wiejski chłopczyna klęczał na stopniach. — Na chórze było cicho. Wiejski organista mimo perswazyj ze strony księdza, nie zgodził się grać na ślubie Andrea Velli. Więc jeno przez otwarte na rozcież drzwi kościoła wpadała muzyka grających pszczół wraz z miodną wonią kwitnących lip...

Po skończonej mszy Andrzej i Luta uklękli obok siebie na stopniach ołtarza. Proboszcz zdziwionym trochę, ale przyjemnym spojrzeniem, obrzucił postać panny młodej w prostej, niebieskiej sukience, bez welonu i bez wianka na ciemno-blond włosach.

Zaczęła się ceremonia. — Jak przez sen słyszała Luta słowa przysięgi Andrzeja. — Po tym ona mówiła za starym, drżącym głosem księdza. Ocknęła się dopiero, gdy chłodne, w srebrze rzeźbione ciało Chrystusa na krzyżu, dotknęła jej ust. Wstali. Staruszek proboszcz życzył im coś z dobrym uśmiechem na ustach. — Po tym odeszli wolno od ołtarza.

— Andrzeju, — nawet „Veni creator" nie grano — popatrzyła na niego żałośnie.

— Kochanie... — pochylił się ku niej serdecznie. — Usiądź tu, w ławce, — ja ci sam zagram!

Luta uklękła. Na splecione dłonie opadła główka. Dusza, po snującej się w kościele miodnej woni i po fali, płynącej spod najdroższych rąk, muzyki — wzniosła się w górę aż do stóp Chrystusa. — Przypadła do nich w podzięce i pozostała tak cicha i szczęśliwa bez miary... Muzyka na chórze z gorących, mocnych tonów „Veni creatoru" przeszła w lekkie, szemrzące fale... Lutę ogarnia jakiś dziwny niepokój. Z kłębka wspomnień zaczyna odwijać się, snuć nuta piosenki, śpiewanej często w dawnych, dziecinnych latach przez nianię bliźniętom:

— — — — — — — — — — —

Lepiej zawsze mieć swojego,
niźli cudzoziemca...

Luta podnosi głowę. Dlaczego właśnie ta piosenka? Dlaczego? — pytają szeroko otwarte ciemne oczy. — I czy to nie fale Adriatyku tak szemrzą pod rękami grającego? — Czy to nie tęsknota do zalanej słońcem krainy, płynie muzyką?... Luta kryje w dłoniach oczy pełne łez... Muzyka na chórze scichła nagle.

Za chwilę Andrzej pochylił się nad Lutą:

— Chodźmy!

Podniosła twarz.

— Płakałaś? — zaniepokoił się.

Prześliczne oczy jeszcze mokre od łez — wzniosły się ku orlej twarzy z miłością:

— To ze szczęścia! — skłamały usta.

ROZDZIAŁ XI.

Wstawały, jeden za drugim, śliczne dni pachnące lipcem. — Złote od słońca, gwarne, cieszące się pogodą, rojem pszczół i muszek. Luta codziennie na nowo i po kilka razy — twierdziła, że tu na Podhalu jest wprost niesamowicie pięknie! I że stanowczo za prędko płyną te jasne, roześmiane szczęściem godziny! Mieli tu pozostać jeszcze niecałe dwa tygodnie, do końca lipca. Od dnia ślubu młoda pani Velli uparła się nie być malowaną żoną"...

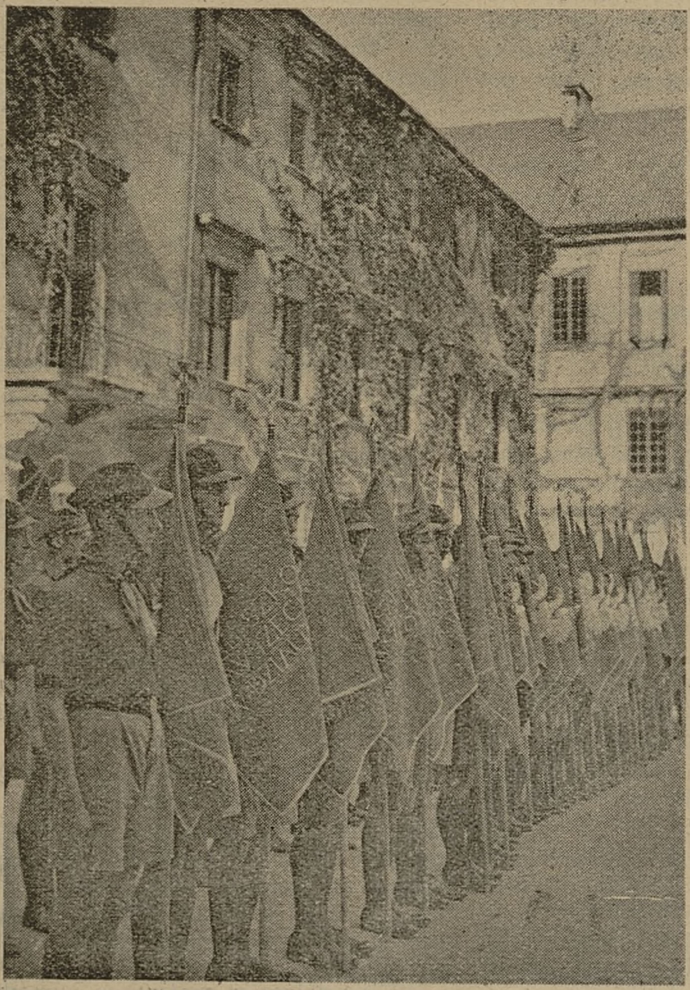
— Mój złoty! mój śliczny! — mówiła składając ręce — nie odradzaj mi! Pozwól mi, choć przez dwa tygodnie być ci taką, naprawdę, żoną! Nie bierzesz mnie na razie do siebie, więc wrócę do domu, — ty odjedziesz i wszystko będzie znów jak dawniej, a wszystko to, co się stało tu — wyda mi się tylko snem czarownym... Ale, — o, widzisz? — jak te dłonie zgrubieją choć trochę od roboty — argumentowała podsuwając mu ręce pod oczy — to będę miała oczywisty dowód, że to nie sen, tylko najprawdziwsza jawa.

Gotowała więc sama, krzątając się rozśpiewana i szczęśliwa. Czasem, gdy zatęskniła za mężem, który przez ten czas pisał w pokoju po drugiej stronie sieni — biegła ku niemu — obejmowała go z tyłu za szyję i przechylając główkę przez jego ramię, pytała mrużąc figlarnie oczy:

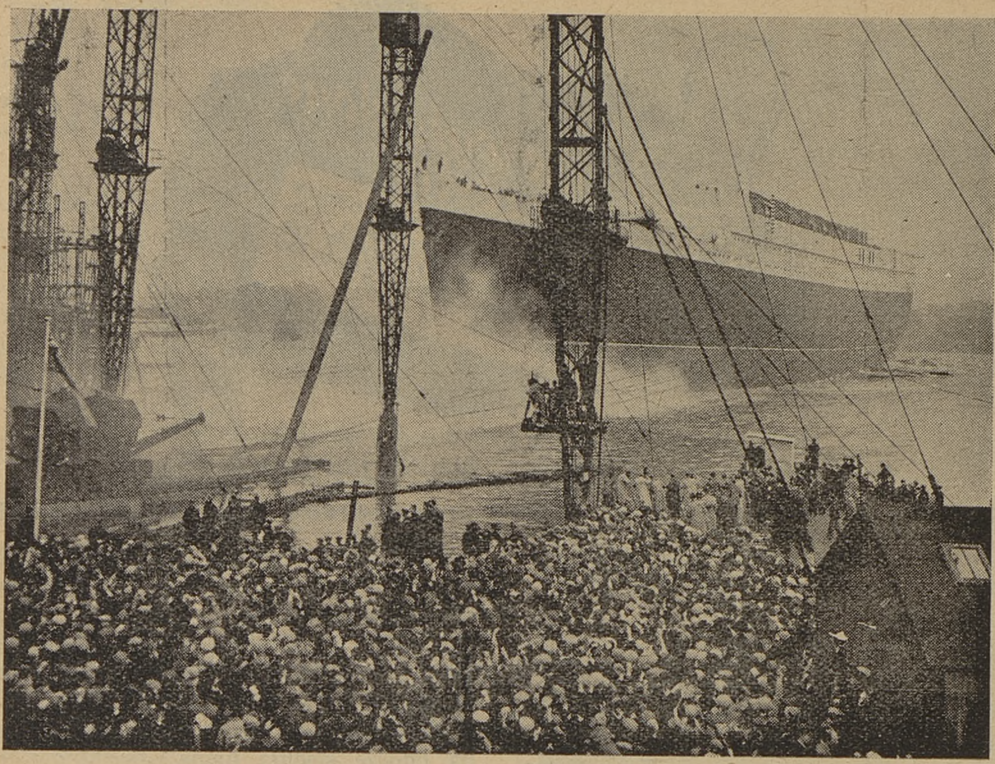
— Andreo! Nie zapomniałeś przypadkiem... imienia swojej żony?

— Luteńka! — odpowiadał odrywając oczy od czarnych, falistych znaczków na papierze, ale oczy te były wówczas takie dalekie, że Luta odchodziła zaraz, jak przyszła, na palcach, a rozwichrzona, czarna głowa schylała się znów nad stołem, nie oglądając się nawet za nią.

— Czy ja — myślała w chwilach takich Luta — taka nic nie znacząca osóbka po-



Na dziedzińcu Zamku warszawskiego odbyła się uroczystość wręczenia sztandaru 14 szkołom powiatów graniczących z Prusami Wschodnimi.



W Anglii spuszczono na wodę największy statek świata — „Queen Elizabeth"

trafię być jego żoną? — Bo nie mogę nie przyznać, że... jest mi przykro, gdy takimi oczami, oczami pełnymi tonów, na mnie spogląda. I taki mi wtedy, ten najbliższy w świecie człowiek, daleki! Jakby gdzieś na wysokiej, dla mnie niedostępnej stał górze! Może płynące lata zmienią mnie? Może stanę się taką, jak trzeba? Ale teraz nie umiem tego... I wstyd mi, bo nie chciałabym być dla Andrzeja tylko dopełniającą kroplą w kielichu pełnym czego innego... kroplą, może potrzebną, ale nie konieczną.

Mroczyły się w chwilach takich przepyszne ciemne oczy. Gasła twarz prześwietlona szczęściem. Ale w parę minut po tym — już śmiały się usta do pięknej, orlej twarzy, na fotografii stojącej na stole, a głos drgający radością życia mówił:

— Teraz musisz mi wystarczyć tylko ty, bo żywy jest teraz na służbie u wielmożnej pani Sztuki!

ROZDZIAŁ XII.

— Andrzeju — oto ostatni nasz wieczór w krainie baśni. — Jutro już nas tu nie będzie i nie będę się już czuła „królową krasnoludków" tak, jak czułam się tu, gdzie od rana do nocy spełniało mi się wszystko, czego zapragnęłam.

Siedzieli na schodach domku, przytuleni do siebie. — Szła noc malowana gwiazdami... zapachem siana wonna... Przez łąkę, znaczoną kopami siana niósł się do nich szum Dunajca, przetykany co chwilę graniem derkacza.

— Ta noc jest jak muzyka — powiedział mężczyzna.

— I jak nasza miłość — dopowiedział głos kobiecy.

Po tym nie mówili znów nic. Siedzieli w milczeniu, chłonąc w siebie głosy i szmery nocy podhalańskiej, — nocy pełnej przedziwnego czaru...

Siedzieli długo. — A po tym, mocne ręce mężczyzny uniosły kobietę lekko w górę, usta położyły się na ustach w serdecznym pocałunku... Po chwili śliczna noc, w szacie szytej gwiazdami i wonnej zapachem siana — pozostała za drzwiami. W oknach zabłysły światła.

— — — — — — — —

Nazajutrz dzień wstał szary, smutny. Gęsta zasłona z chmur kryła zazdrośnie słońce.

Na środku pokoju, już w kostiumie podróżnym, stała Luta z głową złożoną na piersi męża.

— Luteńka moja — szeptał Andreo Velli gładząc pieszczotliwie ciemno-blond loki nieokryte jeszcze niczym.

— Andreo, tak mi się nie chce stąd odjeżdżać. Tak nam tu było dobrze! Czytałam gdzieś, że szczęście nie przywiązuje się do ludzi, jeno do miejsc, które polubi. — Gdyby tak nasze szczęście tu zostało?

— Nie zostanie — na pewno nie zostanie — pocieszał ją jak dziecko, całując kolejno mroczne, jak dzisiejsze niebo, oczy.

— — — — — — — —

Pociąg pędził z góry. Raz krył się w głębokich parowach cienistych od drzew rosnących po obu bokach wysokiego nasypu, to znów wspinał się na niewielkie, ale silne wiadukty, przerzucone przez górskie potoki i rzeczki. Lokomotywa brała żarłocznie pod siebie dwie lśniące wstęgi szyn, aby je ja moment porzucić już niepotrzebne. Krajobraz falował z obu stron zmieniając się raz po raz. O! Teraz wyłaniają się hale, kosówką i skarłałym jałowcem porosłe; takie małe, ciemno-zielone kupki na rozległej, jaśniejszej barwie przestrzeni. To znów, w ciemny prawie granat strojna od lasów świerkowych rosnących na niej. W środku góry szeroka przerwa — przez nią niebieską mgłą oddalenia przesłonięta — widna wioska. — Tam znowu: od łąki po zielonym pagórku biegną brzozy. Smukłe, w warkocze z drobnych, zielonych listeczków ubrane. — Z pomiędzy brzóz, smukła jak one — wystrzela biała willa. O! Już została za nimi! Już inny obraz zjawia się oczom — obraz w stalowe, szerokie ramy, pullmanowskiego okna ujęty.

— Prawda, kochany — mówi Luta wskazując ręką na przemykające widoki, — że moja ojczyzna, równie piękna, jak twoja?

— Ta jest inaczej piękna, ale nie mniej od mojej... — odpowiada w zadumie mężczyzna. Luta dziękuje spojrzeniem. A po tym pada z jej ust drugie pytanie, tylko znacznie cichszym wymówione głosem:

— I pozostaniesz tu już na zawsze?

— Chi lo sa... — padają włoskie słowa. — A po tym delikatny uścisk i już po polsku. — Zostawmy wszystko przeznaczeniu — najdroższa.

Mocna, żywiczna woń wypełniła wnętrze wagonu, to pociąg wleciał w sosnowy las. Drzewa w ciężkich kiściach szpilek uciekają z zawrotną szybkością w dal. — Oto ostatnia sosna mignęła w oknie wagonu i zamajaczył jakby na czubach wyniosłych drzew — kościół Ukrzyżowania. Po tym wieże białego klasztoru Bernardynów. Z prawej strony pyszni się ciemna, olbrzymia góra Lanckorony. Pociąg wije się jak wąż po serpentynach szyn, za parę sekund przebije ciemną gardziel tunelu w pięknym gościńcu wysadzanym topolami. — Jeszcze zachwyci oczy miasteczko na tle góry „Zamczyskiem" zwanej, — jeszcze kilkadziesiąt obrotów kół — i pociąg wjeżdża na stację.

ROZDZIAŁ XIII.

Na drugi dzień Andreo Velli odjechał do Krakowa. Wieczorem tego samego dnia Luta stając w żołnierskiej postawie z uśmiechem na ustach oświadczyła matce, że po dwóch miesiącach urlopu, obejmuje z powrotem z dniem dzisiejszym pieczę nad całym gospodarstwem.

— Pita mi będzie pomagać. — Basię natomiast zwalniam zupełnie; niech odpoczywa przed ostatnim, najcięższym rokiem nauki.

— Dobrze zaczęłam panowanie — mamamusiu? — pytała wesoło.

— Dobrze, dziecko. — Matka popatrzyła serdecznie.

— No, a poddani — a właściwie poddane — nie mają nic do zarzucenia? Żartowała Luta zwracając się w stronę sióstr.

— Ja, naturalnie — nic — pospieszyła Basia z odpowiedzią.

— Ja zaś miałabym dużo... ale co mam robić? Godzę się! — machnęła Pita ręką. Pita w przeciwieństwie do dziecinnych lat, była teraz zawsze w humorze.

— — — — — —

Upływał czas.

Luta chodziła po domu z twarzą jasną. Niedawne dni, dni przepasane tęczą szczęścia, snuły się w myślach. — Pełno ich było wokoło — tak pełno, że prawie nie miała dostępu szara siostra smutku: tęsknota.

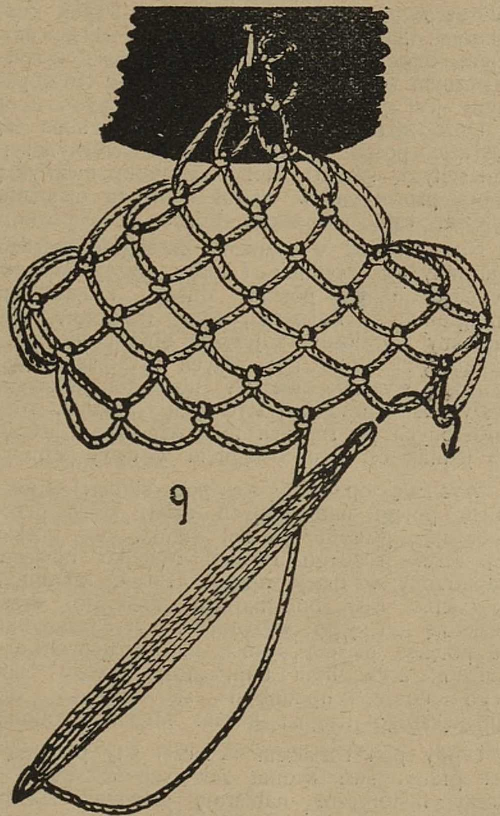
Jesień poczęła czarować ziemię przedziwnie pięknymi dniami. — Na polach zabrakło falujących niby morze za poszumem wiatru, złotych zagonów zbóż. Stały teraz ciche, dostojne poczuciem spełnionego obowiązku. Po lasach jesień czyniła cuda. Brała na paletę farby we wszystkich odcieniach złota i czerwieni i malowała drzewa... Więc dęby i klony ubrała w czerwień, — buki w ciemne złoto, a jasną, słoneczną barwę przeznaczenia kasztanom.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

RAJ KOBIET

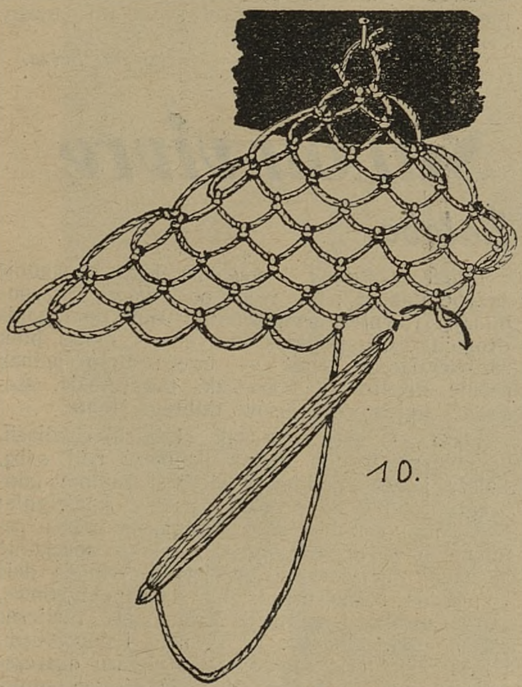
Kurs robót siatkowych

Gdy kwadrat osiągnął już połowę zamierzanej wielkości, nie dodajemy już w jednym środkowym rzędzie, a następnie zaczynamy odejmować w każdym drugim rzędzie po stronie prawej, tak jak dodawaliśmy również po



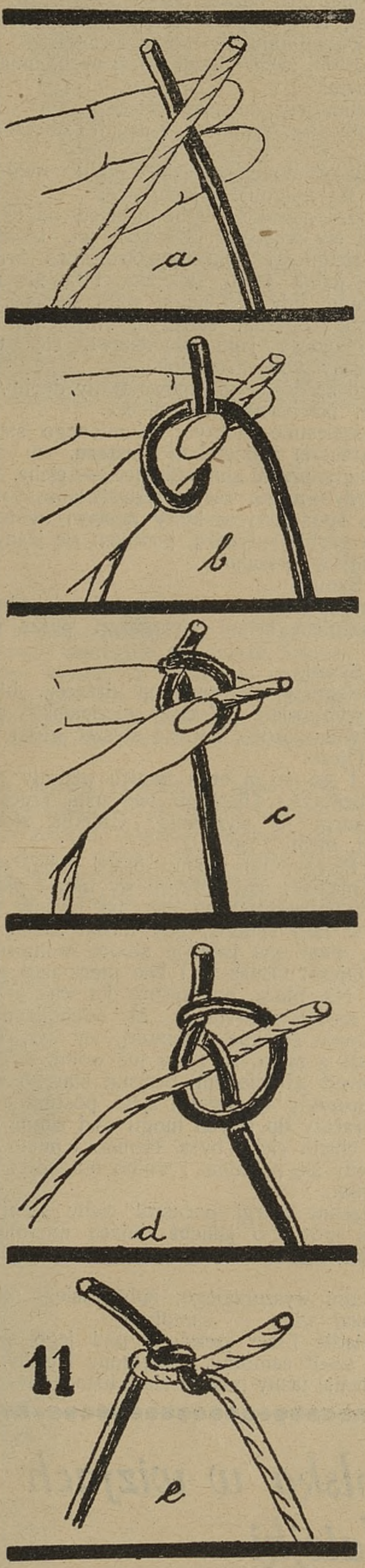
prawej stronie. Odejmujemy zaś, zbierając dwa oczka razem przy końcu rzędu, ob. ryc. 9.

Chcąc uzyskać prostokąt albo dłuższy pas na wstawkę, odejmujemy raz przy końcu rzędu, a następnie dodajemy w drugim rzędzie i tak

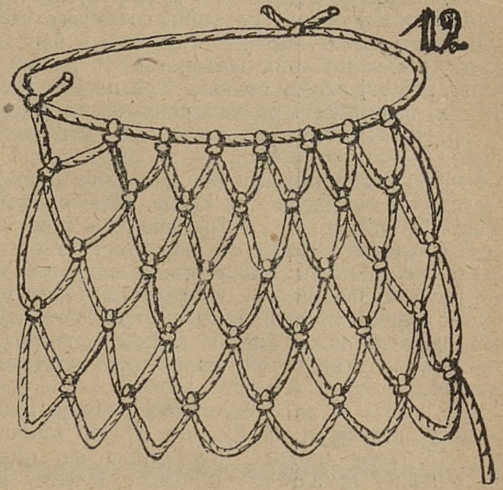


na zmianę. Gdy chcemy zakończyć, odejmujemy w każdym rzędzie. Przy zakończeniu tak kwadratu jak i prostokątu ostatnie oczko wykonujemy bez linijki.

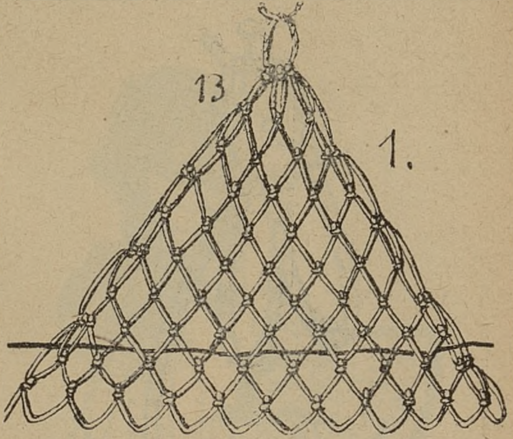
W biegu roboty może się zdarzyć, że wyjdzie nam nitka. Wówczas staramy się łączyć ją na początku lub końcu rzędu. O ile to jest niemożliwe, musimy końce nitek wiązać. Nie

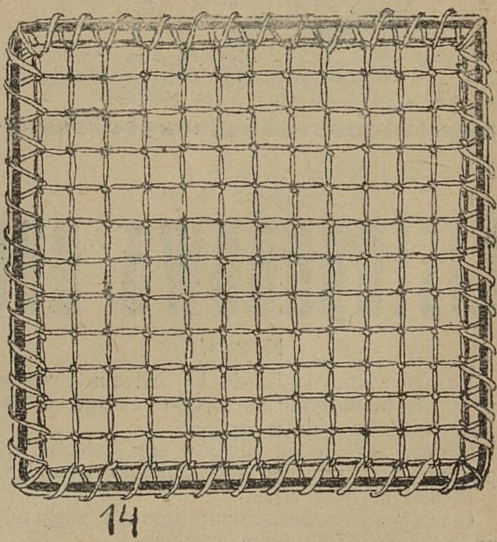


jest jednak obojętne, w jaki sposób to wykonujemy. Idzie o to, by węzeł był mocny, a zarazem jak najmniej widoczny. Posługujemy się w tym celu najlepiej tak zwanym węzłem tkackim. Sposób wykonania tego węzła pokazujemy na ryc. 11. Jak widzimy na ryc. a) kładziemy wpierw oba końce skrzyżowane na wskazujący i średni palec lewej ręki. Następnie owijamy nitką, leżącą pod spodem duży palec kładziemy nitkę między oba końce, ryc. b). W następnej fazie przewlekamy koniec nitki, która początkowo leżała pod spodem, przez kluczkę, ryc. c), układ nitek zobaczymy teraz na ryc. d), poczem ściągamy mocno każdy koniec, chwytając wraz z dalszym ciągiem nitki, ob. ryc. e). Dla łatwiejszego zrozumienia całej czynności podaliśmy na rycinie nitki w dwóch kolorach.

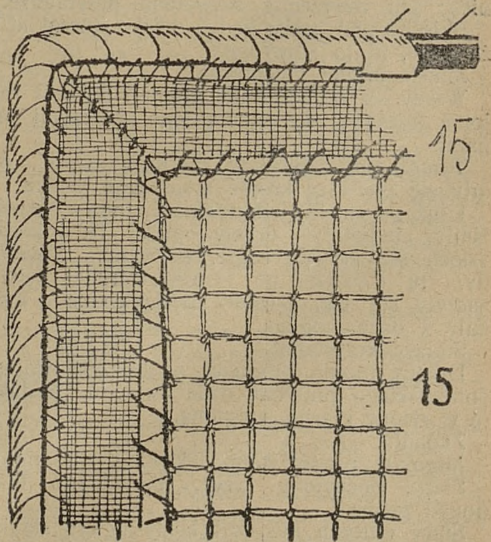


Do niektórych celów potrzebna nam jest siatka ukośna. Wiążemy np. w ten sposób siatki na hamaki, na torebki, na czepki na





głowę i t. p. Wykonanie jest bardzo łatwe. Do kluczki wiążemy tyle oczek, ile nam potrzeba, bez dodawania albo odejmowania. Gdy



siatka osiągnęła zamierzoną długość, ucinamy nitkę, ryc. 12.

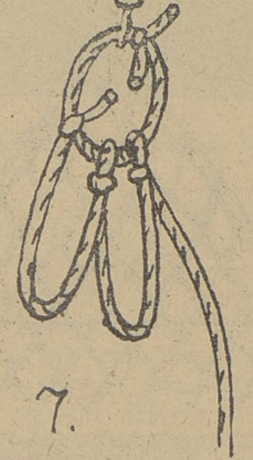
Gdy wiążemy dużą siatkę, musiałybyśmy się coraz bardziej oddalić od stołu, co byłoby bardzo niewygodne. Musimy więc raczej skrócić siatkę, a czynimy to w ten sposób, że przewlekamy przez jeden z ostatnio wykonanych rzędów mocną nitkę i po związaniu jej w kluczkę przytwierdzamy ją szpilką na poduszce, ryc. 13.

Zanim przystępujemy do cerowania siatki, musimy ją wyciągnąć w ramie. Kto posiada ramę drewnianą do zmniejszania lub powiększania, przyszyje siatkę do taśm do tego przeznaczonych. Istnieją jednak ramy metalowe w różnych wielkościach i w różnych formach. Chcąc siatkę w nich umieścić, przyszywamy ją do tych ramek dużymi ściegami, starając się przy tym siatkę jak najmocniej wyprężyć, ryc. 14.

Jeśli ramki są za duże, zmniejszamy je przy pomocy przyszytej taśmy lub paska płótna, ryc. 15. Żeby uniknąć przesuwania się nitki na gładkich metalowych ramkach, owijamy je uprzednio paskiem płótna, ryc. 15.

W następnej części kursu zaczniemy pokazywać różne sposoby ozdabiania siatki.

K. Kulczyńska



Ilustracja do lekcji pierwszej kursu robót siatkowych z nr. 42 „Moich Powieści" zamiast ilustracji nr. 13, która była dana przez pomyłkę.

ST. ROSLEWSKA.

Listopadowa noc

Nowela.

Razem z innymi szedł ku murom cmentarnym, ponad którymi jak żałobne chorągwie zwisały bezlistne gałęzie brzóz.

Starcze jego nogi chwiały się niekiedy, raz po raz okucie krzywej laski stuknęło o kamień...

Poza tym była cisza.

Cisza mącona bezładnym tupotem wielu nóg, przerywana stłumionym szeptem.

Zaduszki...

Szli więc, by tym, którzy odeszli, zanieść słowa modlitwy, powiedzieć, iż pamiętają o nich; szli zawrzeć z zaświatem przymierze.

Było ciemno, wiatr kędyś daleko huczał ni to żałośnie, ni to złowrogo...

Minęli bramę cmentarną.

Wtedy się odłączył od tłumu i poszedł znajomą ścieżyną, wydeptaną jego starczymi stopami.

Tymczasem zajaśniały pierwsze ogniki, poiały się pierwsze krople stopionego wosku.

I już po chwili, jak cmentarz długi i szeroki, śniły, chybotały i drżały ogniki. Tu i ówdzie szloch się zrywał nagle, urywany... stłumiony... tu i ówdzie po twarzy steranej życiem sączyły się łzy, opadały bezszelestnie i wsiąkały w darń mogilną.

Starzec przystanął.

Drżącą dłonią odszukał w kieszeni starego żołnierskiego płaszcza dwie świeczki, postawił je w ziemię czarną, wilgotną.

Zapalił...

Migotały płomyczkami lękliwie... nieśmiało...

Stary, pochylony krzyż, nieruchomo tkwił ponad grobem.

Stary weteran nie czuł kiedy ugięły się kolana, kiedy osunął się na liście zwiędłe. Jakiś wszechwładny rozkaz podniósł jego ramię, opadłe bezsilnie wzdłuż ciała...

Skupił się w sobie, potem zakreślił duży krzyż na piersi. Zerwały się w duszy jakieś struny, napięte mocno niewidzialną dłonią, poruszyły się usta. Słowa skargi, buntu i rozpaczy padały cicho i zda się opłatały u ramion krzyży mogilnych, które jak gdyby pochylały się pod ich ciężarem.

— Czemuś, czemuś mi zabrał go, o Boże!...

A cmentarz gorzał tysiącem ogników, cmentarz się modlił, jeno brzozy milczały i spoglądały w zadumie na morze świateł.

I powoli, żywi odeszli do żywych, umarli zostali sami.

Zwolna jęły dogasać świeczki...

Wtedy się podniósł i usiadł zmęczony na ławce.

Oczy od słońca wyblakłe, od łez wypłowiałe, stały się wilgotne i zamglone.

Patrzał na te świeczki gasnące, na te zastygające łzy woskowe, i widział jak coraz większe ciemności ogarniały królestwo krzyży.

Już jedna tylko świeczka tliła się między drzewami, gdy oto nagle stało się coś, czego nie mógł ogarnąć starczym umysłem..

Oto oczom jego przedstawił się dziwny i straszny zarazem widok.

Znad każdej mogiły powstawały duchy, przejrzyste, powiewne, tajemnicze...

Bezszelestnie otoczyły zdumionego starca w wyszarzałym żołnierskim płaszczu.

Stanęły przed nim milczące — ciche.

Wtedy zadrżał całym jestestwem.

Oto spod krzyża, który postawił własną ręką na grobie jedynaka, podniósł się jasny duch i stanął w orszaku...

— Synu!

Okrzyk ten wyrwał się nagle ze zduszonej wzruszeniem krtani i przebiegł przez szeregi zjaw.

— Synu!...

Wyciągnęły się ramiona drżące... błysnęły oczy wypłowiałe. W ciszy nieziemskiej prawie, jaka była wokoło, dał się słyszeć głos:

— Ojcze!

— I po co z oczu twoich płynęły gorzkie łzy rozpaczy? Dlaczego twe usta rzucały Bogu skargi — wyzwania? Czemuś złorzeczył losowi, niebu i światu?

— Patrz! Oto stoimy przed tobą, my armia Duchów, nad którymi wy ludzie płaczecie. Wyście szczęśliwsi od nas, bo myśmy odchodzili w cień śmierci, gdy mroki ziemię naszą tuliły, wam zaś jaśnieje słońce wolności...

— Ojcze! Osusz łzy! Nie płacz nad grobem syna! Nie płacz, bo myśmy dla was przynieśli dzień zmartwychwstania... My odchodzimy, mając dłonie spętane przemocą, wy zaś, wyzwolicie się z życia, za życia już wolni.

I przed zdumionymi oczyma starego weterana poruszyły się szeregi zjaw, posłuszne i karne, wracały do swych mogił pod zimną darń...

Po chwili cicho było, ciemno i pusto...

Wtedy się podniósł i wolno odszedł znajomą ścieżyną...

Bezzębne wargi poruszał cichy szept. Bezładnie mówił o jakichś dniach minionych, o wysiłkach nadludzkich, o szumie orlich skrzydeł...

Połami wyszarzałego, żołnierskiego płaszcza poruszał wiatr — samotnik.

Uwiędłe liście szeleściły pod jego stopami, a on szedł samotny... zmęczony i cichy... i taki dziwnie jasny pośród cieni listopadowej nocy.

Polska w wizjach Matejki

W STULECIE URODZIN 1838—1938

Wspaniała twórczość tytana sztuki polskiej Jana Matejki, została w stulecie urodzin wielkiego malarza, należycie oceniona i uczczona.

Wystawa w Zachęcie zgromadziła z wielką starannością i pietyzmem kilkadziesiąt arcydzieł Matejki, dając wyraz swemu uwielbieniu, i hołdu dla znakomitego malarza. — Publiczność miała możność zetknięcia się z niezwykle bogatą spuścizną genialnego mistrza, który wskrzesił pędzlem epokowe zdarzenia Polski i najsilniejsze momenty dziejowe naszej Ojczyzny.

Pod czarodziejskim pędzlem Matejki ożywają wizje dawnych bohaterskich czasów, niejednokrotnie, jakże tragicznych scen historycznych. Z obrazów wystawionych w salonach Zachęty, wysuwają się na pierwszy plan: natchnione w malarskim ujęciu: „Kazanie Skargi", w którym osiągnął Matejko wyraz najwyższych szczytów twórczych. Za obraz ten, mający zaledwie 52 l. malarz odznaczony został w Salonie Paryskim złotym medalem, potem przyszła kolej na „Rejtana", przemawiającego prawdą i tragizmem bólu pierwszego rozbioru Polski. W żadnym swoim dziele nie rozwinął Matejko, w takim stopniu dramatycznego stylu, jak w tym właśnie obrazie.

Pod względem doskonałości kompozycji wyróżnia się, przepyszny w wyrazie i kolorycie: „Dzwon Zygmunta", jaśniejący pogodą i blaskiem chwały królewskiej.

Z wielkim rozmachem, (sobie właściwym), potraktowany jest gigantyczny w swych rozmiarach „Grunwald", oddający najgorętszy moment bitewnego zmagania się Polski z odwiecznym wrogiem Krzyżakiem; obraz ten wspaniały jest pod względem batalistycznym.

Duże wrażenie wywiera również silna w wyrazie postać lirnika-wizjonera Wernyhory, (niestety w szkicu), który obdarzony niezwykłą mocą proroczą, w jakimś dziwnym olśnieniu widział całą przyszłość Polski.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje, bardzo staranny w rysunku i jakże pociągający w temacie, tkliwy poemat duszy królewskiej, „Zygmund i Barbara", albo tragicznie zadumany nad losami Ojczyzny błazen - mędrzec: „Stańczyk" i tyle tyle innych arcydzieł. Acz kolwiek wystawa niestety nie skompletowała wszystkich prac artystycznych Matejki, rozproszonych po różnych muzeach całej Europy, to jednak cel swój osiągnęła w całej pełni.

Wystawę opuszcza się pod silnym wrażeniem potęgi natchnionych dzieł, które przemawiając głosem wielkiej sztuki, tak bliskie są sercu każdego Polaka. Matejko bowiem zapatrzony w dzieje ojczyste Polski, wchłonął w siebie cały ból narodu polskiego, oraz tęsknotę za jego wyzwoleniem i wyczarował je potężną pieśnią swoich nieśmiertelnych arcydzieł, a w bólu tym, który przeżarł tak jego duszę, upodobnił się chyba do największego tragika świata Michała Anioła.

I gdy pod rozkazem twórczej siły przenosi na płótna swe widma zaklętych czasów, — sceny historyczne nabierają wówczas takich cech życia, że wobec nich samo życie wydaje się martwe.

Oddalamy się z wystawy namaszczeni wielkością natchnionej twórczości naszego narodowego geniusza, który wielki swój talent, oddawszy w służbę krajowi, przekazał nam dziejową wielkość Polski, a za swe epokowe dzieła, powołany został przez cały świat do chwały nieśmiertelności.

Janina Bełza.

Savoir vivre

Żałoba

Dzień zaduszny i żałobne jego ceremonie przypominając nam tych, co odeszli, przypominają również owe smutne dni po zgonie drogich osób, podczas których — mimo bólu rozdzierającego serce — trzeba było jednak pełnić niezliczone obowiązki towarzyskie, stosować się do przepisów dobrego tonu.

Jakto — więc i w tak ciężkich chwilach, w których trudno nieraz panować nad sobą, należy jeszcze poddawać się wskazaniom „dobrego tonu"? Oczywiście, należy koniecznie! Nie chcąc uchybić jego przepisom trzeba pamiętać o zwyczajach ogólnie, a także specjalnie w danej miejscowości przyjętych. Istnieją dziś co prawda różne przedsiębiorstwa pogrzebowe, które szybko i sprawnie załatwiają rozliczne formalności, związane ze zgonem i pogrzebem, i zabierające tym samym część ciężaru obarczającego rodzinę. Mimo to dość jeszcze smutnych obowiązków pozostaje do spełnienia. Jedną z bardzo przykrych w takich wypadkach czynności jest przyjmowanie wizyt kondolencyjnych.

Zwyczaj wymaga, aby w wypadkach bliskiej znajomości „kondolować" osobiście. Jakże przykre jednak dla obu stron są owe konwencjonalne, szablonowe, utarte frazesy! Osobom, któ-

te poniosły bolesną stratę, wydają się one tylko pustymi dźwiękami, tym zaś, którzy kondolują jak trudno zdobyć się nieraz na żywsze słowa współczucia, gdy poza bliską znajomością żadne serdeczniejsze więzy nie łączą ich z osobą zmarłą. W takich razach najlepiej po prostu wymownie uścisnąć dłonie osób pozostałych wyrażając tym samym swoje dla nich współczucie. Istnieją coprawda osoby, których każde słowo działa kojąco, godzi z faktem dokonanym, uspokaja, przynosi ulgę, jeżeli się jednak tego specjalnego daru nie posiada, lepiej nie silić się na długie oracje. Łatwo bowiem wtedy popełnić można niezręczność i zamiast niesienia pociechy — sprawić przykrość. A gdy się czuje, że w żadnym razie nie potrafi się sprawy tej poprawnie załatwić, wówczas kilka serdecznych słów, przesłanych listem, najlepiej spełni swoje zadanie.

Mimo, że liczne wizyty kondolencyjne zawsze na nowo przypominają bolesną stratę, należy je jednak przyjmować z godnością i nie okazywać swego zniecierpliwienia gościom, dla których to również nie jest miłym obowiązkiem. Osoby kondolujące zaś, ani przez chwilę nie powinny zapominać, iż przebywają w domu żałoby, i że każdy ich — choćby zupełnie mimowolny — odruch wesołości boleśnie rani osoby dotknięte żałobą.

Innym bardzo przykrym obowiązkiem żałobnym jest konieczność przyjęcia gości w samym dniu pogrzebu. W mieście zwyczaj ten prawie zanika, gdyż po pogrzebie wszyscy znajomi rozchodzą się do domów, pozostaje zaś jedynie rodzina osoby zmarłej. Na wsiach jednak, gdzie na pogrzeb przyjeżdżają goście z dość dalekich nieraz stron, przyjęcie ich po pogrzebie jest nieuniknione.

Uroczystość taka jest niesłychanie przykra dla osób dotkniętych żałobą. Każda bowiem żywsza rozmowa, czy nawet poruszanie innych tematów, nie odnoszących się bezpośrednio do osoby zmarłej, poczytywana bywa przez domowników za nieuszanowanie jej pamięci. Nie można się jednak dziwić osobom obcym, iż po parogodzinnych nieraz ceremoniach pogrzebowych pragną się otrząsnąć z przygnębiającego nastroju. Takie odprężenie nerwów jest zupełnie naturalne. Nie należy jednak przekraczać granic i zapominać, iż przebywa się w domu żałoby.



Pulower dla pana; robi się go na drutach oczkami w prawo. Ściągaczka, kołnierz i mankiety wykonane ściegiem: dwa oczka w prawo, dwa w lewo.

Niezależnie od tego, czy kondukt pogrzebowy wyrusza z domu żałoby, czy też z kaplicy przed pogrzebowej, szereguje się orszak żałobny zwykle w ten sposób, iż najbliższa rodzina osoby zmarłej kroczy tuż za trumną, później dalsi krewni i znajomi. Organizacje i poczty sztandarowe kroczą na czele konduktu, przed kapłanem.

Należy jeszcze powiedzieć słów kilka o samym zachowaniu się w czasie żałoby.

Osoby bardzo boleśnie odczuwające stratę bliskiej, drogiej osoby, same przez się unikają rozrywek, w pierwszym zwłaszcza okresie żałoby. Jest to zupełnie zrozumiałe. I jakkolwiek już chociażby ze względu na własne zdrowie, nie można się zupełnie zasklepiać w swym bólu, to jednak w pierwszym okresie żałoby wskazana jest duża powściągliwość w korzystaniu z wszelkich rozrywek. Operetka, dancing i wesoła rewia zupełnie nie licują z powagą szaty żałobnej. Poważne jakieś przedstawienie teatralne, koncert i kino w późniejszym okresie nikogo już na pewno nie zgorszy.

Niestosowne jest również zawieranie powtórnych związków małżeńskich przed upływem okresu żałoby. Chociażby nawet pożycie z osobą zmarłą nie należało do najidealniejszych, to jednak przyzwoitość nakazuje przeczekać czas żałoby. Konieczność opieki nad małymi dziećmi lub ważne jakieś sprawy majątkowe mogłyby do pewnego stopnia usprawiedliwić powtórne wcześniejsze śluby, lecz i temu można przecież przy dobrej woli zaradzić, zamiast narażać się na dość surowy w takich wypadkach osąd opinii publicznej.

Irena Stypianka.

Chwila zastanowienia



ROZSYPANKA
Uł. F. Gałecki.

Ułożyć klocki w ten sposób, aby wyrazy powstałe z sylab na nich wypisanych, utworzyły kwadrat magiczny.

REBUSIKI
pod. „Eros".

mi/dor, k/ręt, m/ach, ień/dz, l/ak, k/ost,

stek/mia; da/gro; La/się;

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 4 listopada br.

Rozwiązanie zadań z nr. 42 „Moich Powieści":

I. Krzyżówka:

Poziomo: 1) łódka, 2) oset, 3) ima, 4) as, (wspak) 5 ekran, 6) rana, 7) kir, 8) ów (wspak), 9) dał, 10) fajka, 11) dom, 12) dar, 13) akt, 14) tak, 15) ćma 16) ton 17) autor, 18) na, 19) Ira, 20) Odol, 21) łobuz, 22) tam, 23) re, 24) kat, 25) rosa 26), wasal.

Pionowo: 1) osioł (wspak) 2) ósma, 3) dea, 4) K. T. (wspak), 5) K. R., 6) rak, 7) wina (wspak), 8) naród, 9) dam, 10) forma, 11) dać, 12) raj. 13) łka, 14) aktów, 15) tan, 16) tom, 17) aut, 18) bat (wspak), 19) anioł, 20) Odra (wspak), 21) boa (wspak), 22) ul (wspak), 23) rasa, 24) kos, 25) Ra, 26) metal.

II. Bilety wizytowe: 1) artysta malarz. 2) rysowniczka. 3) modelka.

Toruń, Wanda Golimuntowicz — Dudla, K. Węgierski — Pszeniczniki, Tadeusz Lenart — Rakowice.

Trafne rozwiązanie nadesłali pp.: Podhalicz Stefan — Lwów, „Eros", Małecki Teofil — Poznań, Wiśniewski Jan — Poznań, Ostrowski Henryk — Katowice, Małkowski Jan —

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Podhaliczowi ze Lwowa i Małkowskiemu z Torunia.



Grzybobranie na Polesiu

Radio

Niedziela, dnia 30 października 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.35 Transmisja z Iwanowic (mszę św celebruje ks. Kardynał Hlond) 11.00 przemówienie wicepremiera inż. E. Kwiatkowskiego (z Poznania) 12.15 Transmisja ze Szczytnik (odsłon. pomnika ks. Kordeckiego) 13.10 Muzyka obiadowa 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Koncert rozrywkowy 17.50 Teatr Wyobraźni: „Gałązka rozmarynu" — Nowakowskiego 19.30 Słynni wirtuozi — koncert z płyt 21.20 „Kalejdoskop" — koncert rozrywkowy z Poznania 22.00 „Wujaszek szuka płaszcza" — Wesoła Syrena 22.40 Muzyka lekka w wyk. orkiestry Rozgłośni Lwowskiej.

Poniedziałek, dnia 31 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 15.00 Audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.40 Koncert z Łodzi 17.20 „Kraków przed 20 laty" — pogadanka 17.35 Recital fortepianowy Witolda Małcużyńskiego 18.30 „Czerwony kolor na wiszni" — reportaż dźwiękowy z Filipin, wsi słynącej z wyrobów tkackich 19.00 muzyka lekka z płyt 19.30 „Z pieśnią i tańcem przez Mazowsze" — suita muzyczna (transmisja do Włoch) 20.00 „Raz to mało" — wspomnienia muzyczne z września 21.00 Koncert symfoniczny w wyk. Orkiestry P. R. 22.30 Recital śpiewaczy Janis Niedra — bas.

Wtorek, dnia 1 listopada 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Rybnika 12.03 Poranek muzyczny z Poznania 13.00 „Z zaświatów" — opowiadanie autentyczne 13.17 Muzyka obiadowa z Krakowa 14.45 „Mam 13 lat" — powieść dla młodzieży 15.00 Audycja dla wsi 16.00 „Z pieśnią po kraju" 16.30 Recital fortepianowy w wyk. Zofii Rabcewiczowej 17.00 Teatr Wyobraźni: „Z tamtego świata" 17,50 Koncert popularny z Poznania 19.20 Transmisja z cmentarza Obrońców Lwowa na Łyczakowie 19.50 Dymitr Szostakowicz: Symfonia nr. 1 op. 10 21.00 Stanisław Moniuszko: „Widma" — sceny liryczne 22.00 Od autobiografii do powieści — szkic literacki 22.15 Włoskie sonaty skrzypcowe — koncert.

Środa, dnia 2 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Transmisja żałobnego nabożeństwa z kościoła akademickiego św. Anny w Warszawie 12.03 Audycja południowa 15.00 Koncert w wykonaniu kwartetu smyczkowego Rozgłośni Krakowskiej 16.15 Dom i szkoła: „Zakazy i nakazy w szkole" — gawęda 16.30 Utwory Cezarego Francka wykona na organach J. Pawlak 17.20 Koncert solistów 18.00 Audycja dla wsi 18.40 „Dyskutujmy: „Plusy i minusy rekordów sportowych" 19.00 Muzyka salonowa w wykonaniu Małej Ork. P. RR. 21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Henryka Sztompki 21.30 „Rozmowa o życiu i śmierci — wieczór literacki 22.00 Muzyka religijna z płyt.

Czwartek, dnia 3 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 „Jak i na czym ludzie grają" — audycja muzyczna dla szkół powszechnych 12.03 Audycja południowa 15.00 Rozmowa technika z młodzieżą 15.15 Kłopoty i rady: „Moja Basia kłamie" 15.30 Muzyka obiadowa 16.15 „Dwadzieścia minut w królestwie nici" — odczyt dla młodzieży licealnej 16.35 Pieśni Mendelsohna i Schuberta w wyk. zespołu „Pro arte" 17.10 Koncert myśliwski (W dzień św. Huberta) 17.50 Pingwin — pogadanka 18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 O tytułach utworów muzycznych — gawęda 19.00 Muzyka lekka i taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry P. R. 21.00 Nasze wielkie i małe inwestycje — odczyt 21.10 Ze śpiewem i tańcem przez Polskę — koncert z Katowic 21.45 Eliza Orzeszkowa — szkic literacki 22.00 Koncert dawnej muzyki 23.05 Koncert muzyki polskiej w wykonaniu orkiestry Polskiego Radia.

Piątek, dnia 4 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 Na szerokim świecie — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa w wyk Małej Orkiestry P. R. 16.30 Recital skrzypcowy Jerzego Stefana 17.05 Litwa współczesna — reportaż 17.20 Recital śpiewaczy Stefana Witasa 18.00 Audycja dla wsi 18.30 „Srebrne lichtarze" — słuchowisko J. Szaniawskiego 19.00 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 21.00 Chór Polskiego Radia pod dyr. St. Nawrota 21.15 Koncert symfoniczny — transmisja z Filharmonii Warszawskiej 22.30 Czy ludzkość ulega degeneracji — odczyt 22.40 Muzyka z płyt.

Sobota, dnia 5 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 Słuchowisko dla dzieci: „Tomcio paluch na dnie morza" 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16,30 Z zapomnianych naszych pieśni — koncert z Krakowa 17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 „Pociąg w nieznane" — koncert rozrywkowy z Katowic 21.00 „Wieczna tęsknota" — operetka 23.15 Muzyka taneczna z płyt.

HUMOR

ZROZUMIAŁA PRZYCZYNA

— Co pani mówi? Malarz odnawiał pani kuchnię aż trzy dni? A u mnie odnowił w ciągu jednego dnia.

— Tak, ale pani kucharka ma 60 lat, a moja 18.

MIĘDZY WARIATAMI

Dwaj wariaci siedzą zamknięci w zakratowanej celi.

— Wiesz — odzywa się jeden — gdyby udało się nam wyjść na dziesięć minut, na miasto, żeby kupić pilniki do przepiłowania krat, moglibyśmy z łatwością stąd uciec!...

MILSZA KURACJA

Lekarz zapisuje choremu lekarstwo i mówi:

— Niech pan pije co godzinę po kieliszku tego lekarstwa. Wprawdzie jest ono bardzo niesmaczne, ale to nic! Niech pan przymknie oczy, podniesie kieliszek do ust i raz, dwa! Wypije pan wyobrażając sobie, że to wódka!

— Panie doktorze — proponuje chory. — A może ja lepiej będę pił co godzinę po kieliszku wódki i będę sobie wyobrażał, że to lekarstwo?

ZAWÓD

Pewnej pannie przedstawiono świetnego pisarza X.

— Więc pan właśnie jest tym głośnym pisarzem?... — spytała z niedowierzaniem.

— Tak, łaskawa pani.

— Naprawdę?

— Ależ tak! Dlaczego pani wątpi?

— A bo widzi pan, przed tygodniem poznałam Mickiewicza, a potem się okazało, że to wcale nie był on!

SŁOWA I CYFRY

— Słyszałem, że się ożeniłeś?

— Owszem jestem tak zakochany w mojej żonie, że to się po prostu nie da wyrazić słowami...

— Może w cyfrach...

ZAGADKA

— Co to jest? Ma osiem nóg i wydaje z siebie dźwięki?

— Nie wiem!

— Bardzo proste: jest kwartet muzyczny!

NASZE DZIECI

Lolek: — Ja, gdy będę duży, to będę zarabiał dużo... tyle... tyle pieniędzy, co mój tatuś.

Miecia: — A ja, tak dużo będę wydawać, jak mamusia.

ZMIANA KURSU

— Pan ma bilet do Krakowa! — mówi konduktor do pasażera. — A pociąg jedzie do Wilna.

— Wielkie nieba! Musi pan natychmiast zawiadomić o tym maszynistę!

DIETA

— Jemy teraz tylko surowizny.

— Dziwne! Czyż by zamknęli wam dopływ gazu?

PO PRZYJACIELSKU

Służąca melduje panu:

— Panie dyrektorze! — Pana prosi do telefonu kolega.

— A skąd Marysia wie, że to kolega?

— A bo spytał: „Czy to ty, stary ośle??"

OFIARA KONKURENCJI

Dygnitarz zwiedza gmach więzienny. W jednej z cel zapytuje więźnia:

— Co was właściwie przywiodło tutaj?

— Zawistna konkurencja, panie radco...

— Jaka konkurencja?

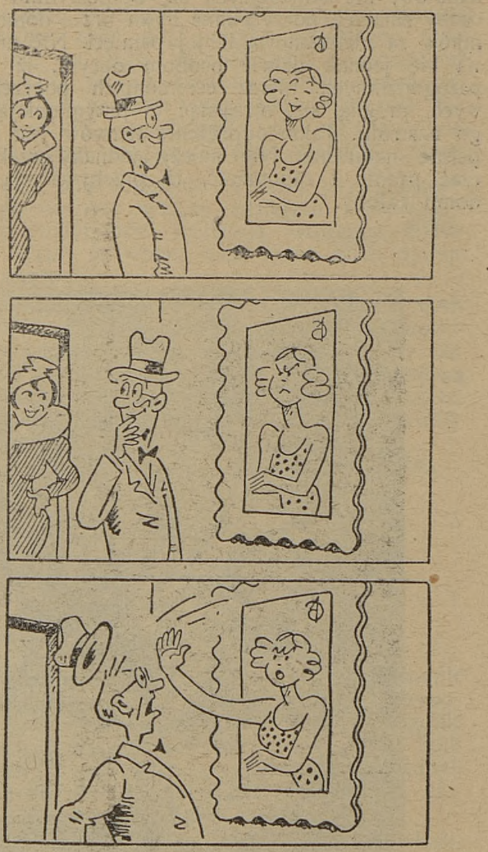
— A no, bo robiłem taniej i lepiej banknoty niż drukarnia państwowa.

JASNOWIDZĄCA

Do jasnowidzącej przychodzi właściciel wielkiego banku.

— Powiem panu coś o pańskiej przeszłości — mówi jasnowidząca.

— Dobrze, ale muszę sprawdzić, czy nas kto nie podsłuchuje.



Zazdrosny portret

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1